

**ERNEST  
HEMINGWAY**

**STARY  
CZŁOWIEK  
I MORZE**



**ERNEST HEMINGWAY**

*Stary człowiek i morze*

*Edycja EBOOK - reddogpl*



Był starym człowiekiem, który łowił ryby w Golfstronie pływając samotnie łodzią i oto już od osiemdziesięciu czterech dni nie schwytał ani jednej. Przez pierwsze czterdzieści dni pływał z nim pewien chłopiec. Ale po czterdziestu jałowych dniach rodzice oświadczyli mu, że stary jest teraz bezwzględnie i ostatecznie salao, co jest najgorszą formą określenia „pechowy” i chłopiec na ich rozkaz popłynął inną łodzią, która w pierwszym tygodniu złowiła trzy dobre ryby. Smuciło go to, że stary co dzień wraca z pustą łodzią, więc zawsze przychodził i pomagał mu odnosić zwoje linek albo osęk i harpun i żagiel owinięty dokoła masztu. Żagiel był wylatany workami od mąki, a zwinięty wyglądał jak sztandar nieodmiennej klęski.

Stary był suchy i chudy, na karku miał głębokie bruzdy. Brunatne plamy po niezłóśliwym raku skóry, występującym wskutek odbłasku słońca na morzach tropikalnych, widniały na jego policzkach. Plamy te biegły po obu stronach twarzy, a ręce miał poorane głębokimi szramami od wyciągania linką ciężkich ryb. Ale żadna z tych szram nie była świeża. Były one tak stare jak erozje na bezrybnej pustyni. Wszystko w nim było stare prócz oczu, które miały tę samą barwę co morze i były wesole i niezłomne.

– Santiago – powiedział do niego chłopiec, kiedy wspinali się na stromy brzeg od miejsca, gdzie stała łódź wciągnięta na piasek. – Mógłbym znów z tobą popłynąć. Zarobiliśmy trochę pieniędzy.

Stary nauczył chłopca łowić ryby i chłopiec go kochał.

– Nie – odrzekł stary. – Jesteś na szczęśliwej łodzi. Zostań z nimi.

– A przypomnij sobie, jak kiedyś przez osiemdziesiąt siedem dni nie złapałeś ani jednej ryby, a potem przez trzy tygodnie łowiliśmy co dzień takie wielkie.

– Pamiętam – odpowiedział stary. – Wiem, że nie dlatego oszedłeś ode mnie, żeś zwątpił.

– Tata kazał mi odejść. Jestem jeszcze mały i muszę go słuchać.

– Wiem – rzekł stary. – To całkiem normalne.

– Bo on już nie bardzo wierzy.

– A nie – powiedział tamten. – Ale my wierzymy, prawda?

– Tak – odparł chłopiec. – Mogę cię poczęstować piwem na Tarasie? Potem zabierzemy rzeczy do domu.

– Czemu nie? – powiedział stary. – Między rybakami...

Siedzieli na Tarasie i wielu rybaków podkpiwało ze starego, ale on się nie gniewał. Starsi patrzyli na niego i robiło im się smutno. Jednak nie pokazywali tego po sobie i rozmawiali uprzejmie o prądzie i o głębokości, na jaką zapuścili linki, i o tym, że pogoda się ustaliła, i o wszystkim, co widzieli. Ci, którym powiodło się tego dnia, już wrócili, wypatroszyli swoje marliny i ponieśli je rozciągnięte na dwóch deskach – a pod końcami każdej ugięło się dwóch ludzi – do składu ryb, gdzie czekały na samochód-chłodnię, który miał je zabrać na targ do Hawany. Ci, co złowili rekiny, zanieśli je do przetwórnicy po drugiej stronie zatoczki, tam zaś podciągnięto ryby na blokach, wyjęto wątroby, odcięto płetwy, a po zdjęciu skóry mięso pokrajano na paski, żeby je nasolić.

Kiedy wiatr wiał od wschodu, do przystani dolatywały zapachy z przetwórnicy, ale dziś ledwie się je czuło, bo wiatr przesunął się na północ, a potem ustał i na Tarasie było przyjemnie i słonecznie.

– Santiago – zaczął chłopiec.

– A co? – odezwał się tamten. Trzymał w ręce szklankę i myślał o tym, co było przed wielu laty.

– Mógłbym ci przynieść sardynek na jutro?

– Nie. Idź pograć w baseball. Jeszcze mogę wiosłować, a Rogelio zarzuci sieć.

– Bardzo bym chciał. Bo jak nie mogę z tobą łowić, to chociaż chciałbym na coś się przydać.

– Postawiłeś mi piwo – powiedział stary. – Już jesteś mężczyzną.

– Ile lat miałem, jak mnie pierwszy raz wzięłeś do łodzi?

– Pięc. Kiedyś wyciągnąłem rybę za wcześnie i o mało cię nie zabiła; niewiele brakowało, a rozwaliby łódź na kawałki.

Pamiętasz?

– Pamiętam, jak trzepała i biła ogonem i jak ławka trzaśła, i to łomotanie pałką. Pamiętam, jak mnie rzuciłeś na dziób, gdzie były mokre zwoje lin, i czułem, że cała łódź drga, i słyszałem, jak waliłeś rybę pałką, jakby kto zrąbywał drzewo, i pamiętam ten słodki zapach krwi na sobie.

– Czy ty naprawdę pamiętasz, czy też to ja ci tylko opowiadałem?

– Pamiętam wszystko, odkąd pierwszy raz popłynąłem z tobą.

Stary popatrzył na niego swymi wyblakłymi od słońca, ufnymi, kochającymi oczami.

– Gdybyś ty był mój, wziąłbym cię z sobą i zaryzykował – rzekł. – Aleś ojca i matki i pływasz w szczęśliwej łodzi.

– A mógłbym ci przynieść sardynki? Wiem, gdzie można dostać jeszcze cztery przynęty.

– Zostały mi z dzisiejszego dnia. Włożyłem je do soli, do skrzynki.

– Pozwól mi przynieść cztery świeże.

– Jedną – powiedział stary. Nadzieja i ufność nigdy go nie opuszczały. A teraz przybierały na sile jak bryza, która się wzmacnia.

– Dwie – rzekł chłopiec.

– Niech będą dwie – zgodził się stary. – A nie ukradłeś ich czasem?

– Ukradłbym – odparł chłopiec. – Ale te kupiłem.

– Dziękuję ci – powiedział stary. Był zbyt prosty, żeby się zastanawiać, kiedy osiągnął pokorę. Wiedział jednak, że ją osiągnął, wiedział też, że nie ma w tym nic haniebnego i że nie pociąga to za sobą utraty prawdziwej dumy.

– Przy takim prądzie powinien być jutro dobry dzień – rzekł.

– Gdzie popłyniesz? – zapytał chłopiec.

– Daleko, żeby wrócić, jak wiatr się zmieni. Chcę być na morzu, nim się rozwidni.

– Spróbuję namówić mojego, żeby też wypłynął daleko. Wtedy, jak złapiesz coś naprawdę dużego, będziemy mogli ci pomóc.

– On nie lubi łowić za daleko od brzegu.

– Nie – powiedział chłopiec. – Ale ja potrafię wypatrzeć to, czego on nie dojrzy, na przykład kołującego ptaka, i namówię go, żeby popłynął za delfinami.

– Takie ma kiepskie oczy?

– Jest prawie ślepy.

– Dziwne – powiedział stary. – Nigdy nie pływał na żółwie. A właśnie od tego psuje się wzrok.

– Przecież ty przez całe lata łowiłeś żółwie u Wybrzeży Moskitów, a oczy masz dobre.

– Bo ze mnie dziwny staruch.

– A masz teraz dość siły, żeby dać radę naprawdę dużej rybie?

- Chyba tak. Poza tym jest wiele sposobów.
- Zabierzmy rzeczy do domu – powiedział chłopiec. – Żebym mógł wziąć siatkę i pójść po te sardynki.

Wyjęli osprzęt z łodzi. Stary zarzucił na ramię maszt, a chłopiec wziął drewnianą skrzynkę ze zwojami mocno splecionych brunatnych linek i osęk, i harpun z drzewcem. Pudełko z przynętami zostało na rufie łodzi razem z pałką, którą ogłuszało się duże ryby po przyciągnięciu ich do burty. Nikt nie ukradłby nic staremu rybakowi, ale lepiej było zabrać żagiel i ciężkie linki do domu, bo rosa była dla nich szkodliwa, a stary, chociaż miał całkowitą pewność, że nikt z miejscowych go nie okradnie, uważał, że zostawianie w łodzi osęka i harpuna stwarza niepotrzebną pokusę.

Ruszyli razem drogą do chaty starego i weszli przez drzwi, które były otwarte. Stary oparł o ścianę maszt ze zwiniętym żaglem, a chłopiec postawił obok skrzynkę i resztę sprzętu. Maszt był prawie tak długi jak jedyna izba chaty. W chacie zbudowanej z twardych liści palmy królewskiej, zwanych guano, było łóżko, stół, jedno krzesło, a na klepisku miejsce, gdzie gotowano na węglu drzewnym. Na brunatnej ścianie ze spłaszczonych, zachodzących na siebie liści silnie uwłóknionego guano wisiał kolorowy obrazek Świętego Serca Jezusowego i drugi, przedstawiający Najświętszą Pannę z Cobre. Były to pamiątki po żonie starego. Niegdyś na ścianie wisiała też kolorowana fotografia żony, ale ją zdjął, bo patrząc na nią czuł się zbyt samotny; leżała teraz na półce w rogu, pod czystą koszulą.

- Co masz do jedzenia? – zapytał chłopiec.
- Garnek żółtego ryżu z rybą. Chcesz trochę?
- Nie. Będę jadł w domu. Rozpalić ogień?
- Nie, sam później rozpalę. Mogę też zjeść ryż na zimno.
- Można wziąć siatkę?
- No pewnie.

Nie było żadnej siatki i chłopiec pamiętał, kiedy ją sprzedali. Ale mimo to co dzień stwarzali sobie tę samą fikcję. Nie było garnka z żółtym ryżem i rybą, i chłopiec też o tym wiedział.

– Osiemdziesiąt pięć to szczęśliwa liczba – rzekł stary. – Jakby ci się podobało, gdybym przywiózł rybę, co by ważyła z górą tysiąc funtów?

– Wezmę siatkę i pójdę po sardynki. Posiedzisz na progu w słońcu?

– Dobrze. Mam wczorajszą gazetę, to sobie poczytam o baseballu.

Chłopiec nie wiedział, czy i wczorajsza gazeta nie jest fikcją. Ale stary wyciągnął ją spod łóżka.

– Perico mi dał w bodedze – wyjaśnił.

– Wrócę, jak już będę miał sardynki. Położę twoje i moje na lodzie, a jutro rano się podzielimy. Jak przyjdę, opowiesz mi o baseballu.

– „Jankesi” nie mogą przegrać.

– Ale ja się boję tych „Indian” z Cleveland.

– Wierz w „Jankesów”, synku. Pamiętaj o wielkim Di Maggio.

– Boję się i „Tygrysów” z Detroit, i „Indian” z Cleveland.

– Uważaj, bo jeszcze się złękiesz nawet „Czerwonych” z Cincinnati i „Białych Pończoch” z Chicago.

– Przejrzyj to i opowiedz mi, jak wrócę.

– Myślisz, że warto kupić los na loterię z numerem osiemdziesiątym piątym? Bo to jutro osiemdziesiąty piąty dzień.

– Możemy – powiedział chłopiec. – Ale co z twoim wielkim rekordem osiemdziesięciu siedmiu dni?

– To się nie może powtórzyć. Myślisz, że znajdziesz osiemdziesiątkę piątkę?

– Mogę zamówić.

– Jeden los. To jest dwa i pół dolara. Od kogo można by tyle pożyczyć?

– Nic trudnego. Zawsze mogę pożyczyć dwa i pół dolara.

– Ja chyba też. Tylko że staram się nie pożyczać. Bo to najpierw pożyczasz, a potem żebrzesz.

– Uważaj, żebyś się nie zaziębił – powiedział chłopiec. – Pamiętaj, że to wrzesień.

– Miesiąc, w którym przychodzą wielkie ryby – odparł stary. – Byle kto potrafi być rybakiem w maju.

– No, idę po te sardynki – rzekł chłopiec.

Kiedy wrócił, tamten spał w krześle, a słońce już zaszło. Chłopiec zdjął z łóżka stary wojskowy koc i rozłożył go na oparciu krzesła i na ramionach rybaka. Dziwne to były ramiona, wciąż jeszcze silne, choć

bardzo stare; szyja też była mocna, a bruzdy mniej widoczne, gdy spał i głowa opadła mu na piersi. Koszulę tyle razy łatano, że przypominała żagiel, a łaty spłwiałały na słońcu i przybrały najrozmaitsze odcienie. Głowa starego była jednak bardzo sędziwa, a kiedy miał zamknięte oczy, w twarzy nie było życia. Gazeta leżała na jego kolanach, i ręka swoim ciężarem przytrzymywała ją wśród podmuchu wieczornej bryzy. Był boso.

Chłopiec odszedł, a kiedy wrócił, stary wciąż jeszcze spał.

– Obudź się – powiedział chłopiec i położył mu rękę na kolanie.

Stary otworzył oczy i przez chwilę powracał z bardzo daleka.

Potem uśmiechnął się.

– Co tam masz? – zapytał.

– Kolację – odpowiedział chłopiec. – Zjemy teraz kolację.

– Nie jestem głodny.

– Chodź coś zjeść. Nie możesz łowić ryb i nie jeść.

– Już tak bywało – powiedział stary wstając i składając gazetę.

Potem zabrał się do składania koca.

– Nie zdejmuj tego koca – rzekł chłopiec. – Póki ja żyję, nie będziesz jeździł na połów bez jedzenia.

– W takim razie żyj długo i uważaj na siebie – powiedział stary. –

Co jemy?

– Czarną fasolę z ryżem, przypiekane banany i trochę duszonego mięsa.

Chłopiec przyniósł to z Tarasu w podwójnej metalowej menażce.

W kieszeni miał dwa komplety noży, widelców i łyżek, każdy zawinięty w papierową serwetkę.

– Kto ci to dał?

– Martin. Właściciel.

– Muszę mu podziękować.

– Już mu podziękowałem. Ty nie musisz dziękować.

– Dam mu mięso z brzucha wielkiej ryby – powiedział stary. – Czy on już kiedyś przysłał nam jedzenie?

– Chyba tak.

– Więc muszę mu dać coś więcej niż mięso z brzucha. Bardzo o nas dba.

– Przysłał dwa piwa.



- Najbardziej lubię piwo w puszkach.
- Wiem. Ale to jest Hatuey w butelkach; butelki zabieram z powrotem.
- Poczciwy jesteś – rzekł stary. – Zjemy coś?
- Przecież cię prosiłem – powiedział łagodnie chłopiec. – Nie chciałem otwierać menażki, póki nie będziesz gotów.
- Już jestem gotów – odrzekł stary. – Musiałem tylko mieć czas, żeby się umyć.
- „Gdzieś ty się umył?” – pomyślał chłopiec. Wioskowy zbiornik wody był o dwie ulice dalej. „Muszę tu mieć wodę dla niego – postanowił – i mydło, i porządny ręcznik. Dlaczego jestem taki bezmyślny? Trzeba mu sprawić drugą koszulę i kurtkę na zimę; jakieś buty i jeszcze jeden koc”.
- To mięso jest doskonałe – powiedział stary.
- Opowiedz mi o baseballu – poprosił chłopiec.
- W Lidze Amerykańskiej wygrali „Jankesi”, tak jak mówiłem – odparł tamten z radością.
- A dziś przegrali – powiedział chłopiec.
- To nic nie znaczy. Wielki Di Maggio znowu wrócił do formy.
- Mają tam innych w drużynie.
- Naturalnie. Ale on przesądza sprawę. W drugiej lidze muszę między Brooklynem a Filadelfią wybrać Brooklyn. Tylko że myślę o Dicku Sislerze i tych jego wspaniałych rzutach w starym parku.
- Nikt lepiej nie potrafi. Podaje najdłuższą piłkę, jaką w życiu widziałem.
- Pamiętasz, jak tu przychodził na Taras? Chciałem go zabrać na ryby, ale nie miałem śmiałości go zaprosić. Później namawiałem ciebie i ty też nie miałeś odwagi.
- Wiem. To był wielki błąd. Mógł z nami popłynąć. Mielibyśmy wspomnienie na całe życie.
- Chętnie bym wziął wielkiego Di Maggio na ryby – powiedział stary. – Mówią, że jego ojciec był rybakiem. Może on też był taki sam biedak jak my i potrafiłby zrozumieć.
- Ojciec wielkiego Sislera nigdy nie był biedny i w moim wieku grywał w wielkich rozgrywkach ligowych.

– Kiedy ja byłem w twoim wieku, służyłem jako prosty majtek na statku rejsowym, który pływał do Afryki, i wieczorami widywałem lwy nad brzegiem morza.

– Wiem. Opowiadałeś mi.

– Pogadamy o Afryce czy o baseballu?

– Chyba o baseballu – odparł chłopiec. – Opowiedz mi o wielkim Johnie Mc Graw. – Wymawiał „John” przez „jot”.

– Dawniej także czasem przychodził na Taras. Ale był szorstki, ostry w słowach. I trudno było dać sobie z nim radę, jak popił. W głowie miał tylko baseball i konie. Przynajmniej zawsze nosił po kieszeniach spisy koni i często gadał przez telefon końskie imiona.

– Świetny był z niego kierownik drużyny – powiedział chłopiec. – Ojciec uważa, że najlepszy.

– Bo tu najczęściej przyjeżdżał – odparł stary. – Gdyby Durocher dalej się tu pokazywał co roku twój ojciec jego uważałby za najlepszego.

– A kto jest naprawdę najlepszy: Luque czy Mikę Gonzalez?

– Myślę, że są sobie równi.

– A najlepszym rybakiem jesteś ty.

– Nie. Znam innych, lepszych.

– Que va? – zawołał chłopiec. – Jest wielu dobrych rybaków i kilku wspaniałych. Ale nie ma takiego jak ty.

– Dziękuję ci. Ucieszyłeś mnie. Mam nadzieję, że nie trafi się taka wielka ryba, która by nam pokazała, że się mylimy.

– Nie ma takiej ryby, jeżeli wciąż jesteś tak silny, jak mówisz.

– Mogę nie być tak silny, jak myślę – powiedział stary – ale znam wiele sposobów i jestem śmiały.

– Teraz powinieneś iść do łóżka, żebyś jutro rano był wypoczęty. A ja odniosę to wszystko na Taras.

– No to dobranoc. Obudzę cię rano.

– Jesteś moim budzikiem.

– A moim budzikiem jest wiek – odparł stary. – Dlaczego starzy ludzie budzą się tak wcześnie? Czy po to, żeby mieć dłuższy dzień?

– Nie wiem – odpowiedział chłopiec. – Wiem tylko, że młodzi chłopcy śpią długo i twardo.

– Przypominam to sobie – rzekł stary. – Zbudzę cię w porę.

– Nie lubię, jak ten mój mnie budzi. Bo to tak, jakbym był gorszy od niego.

– Wiem.

– Śpij dobrze, staruszk.

Chłopiec wyszedł. Jedli bez światła, więc teraz stary po ciemku zdjął spodnie i położył się do łóżka. Spodnie zwinął, żeby zrobić sobie zagłówek, a do środka wsadził gazetę. Otulił się kocem i zasnął na innych starych gazetach, którymi przykryte były sprężyny łóżka.

Usnął szybko i śnił o Afryce z tych czasów, kiedy był chłopcem, o długich, złotych plażach i plażach białych, tak białych, że aż oczy bolały, o wysokich przylądkach i wielkich, brunatnych górach. Co noc żył teraz na owym wybrzeżu i w snach słyszał huk fal i widział przedzierające się przez nie łodzie krajowców. Śpiąc, czuł woń smoły i pakuł na pokładzie, czuł zapach Afryki, który rankiem przynosiła bryza od lądu.

Zazwyczaj kiedy już poczuł bryzę lądową, wstawał i ubierał się, żeby obudzić chłopca. Tej nocy jednak zapach od lądu przyszedł bardzo wczesnie, on zaś przez sen wiedział, że to jeszcze nie pora, więc śnił dalej, by ujrzeć białe szczyty wysp wynurzające się z morza, a potem zwidziały mu się rozmaite przystanie i redy Wysp Kanaryjskich.

Nie śniły mu się już burze ani kobiety, ani wielkie wydarzenia, ogromne ryby, bójki czy mocowania, ani też własna żona. Teraz śnił już tylko o różnych miejscach i o lwach na plaży. W zmroku igrały jak młode koty, a on je kochał, podobnie jak kochał chłopca. Chłopiec nie śnił mu się nigdy.

Przebudził się, spojrzął przez otwarte drzwi na księżyc, rozwinął spodnie i naciągnął je. Za chatą oddał mocz i poszedł drogą, aby obudzić chłopca. Dygotał od porannego chłodu. Wiedział jednak, że z tego dygotania zrobi mu się ciepło i że niedługo już będzie wiosłował.

Drzwi domu, w którym mieszkał chłopiec, nie były zamknięte na klucz, więc uchylił je i wszedł stąpając cicho bosymi nogami. Chłopiec spał w pierwszej izbie na składanym łóżku i stary dojrzał go wyraźnie przy wpadającym tam świetle gasnącego księżyca. Ujął

chłopca łagodnie za stopę i przytrzymał ją, aż ów się zbudził, obrócił i spojrzał na niego. Stary kiwnął głową, a chłopiec wziął z krzesła spodnie i wciągnął je, siedząc na łóżku. Stary rybak wyszedł, chłopiec zaś podążył za nim. Był senny, więc stary objął go za ramiona i powiedział:

– Żal mi ciebie.

– Que va? – odparł chłopiec. – Taki jest obowiązek mężczyzny.

Szli do chaty starego, a wzdłuż całej drogi, w mroku, spieszyli bosi mężczyźni, niosąc maszty swych łodzi.

Kiedy dotarli do chaty, chłopiec wziął zwoje linek złożone w koszyku, harpun i osęk, a stary zarzucił na ramię maszt ze zwiniętym żaglem.

– Chcesz kawy? – zapytał chłopiec.

– Wsadzimy sprzęt do łodzi, a potem się napijemy.

Napili się kawy z puszek po skondensowanym mleku w budce, gdzie wczesnym rankiem obsługiwano rybaków.

– Jak się spało, staruszk? – zapytał chłopiec. Teraz już przytomniał, choć nadal ciężko mu było rozstać się ze snem.

– Doskonale, Manolin – odparł rybak. – Czuję się dzisiaj pewnie.

– Ja też – powiedział chłopiec. – A teraz muszę iść po twoje i moje sardynki i po świeże przynęty dla ciebie. Ten mój sam przynosi nasz osprzęt. Nie chce, żeby ktoś inny nosił cokolwiek.

– U nas inaczej – zauważył stary. – Pozwalałem ci nosić różne rzeczy, kiedy miałeś pięć lat.

– Wiem o tym – powiedział chłopiec. – Zaraz wrócę. Napij się jeszcze kawy. Mamy tu kredyt.

Odszedł boso po koralowych skałach do chłodni, gdzie przechowywano przynęty.

Stary powoli łykał kawę. Miała mu wystarczyć na cały dzień, wiedział więc, że powinien ją wypić. Od dawna już znudziło mu się jedzenie, toteż nigdy nie zabierał obiadu. Na dziobie łodzi miał flaszkę z wodą i nie potrzeba mu było nic więcej do wieczora.

Chłopiec wrócił, niosąc sardynki i dwie przynęty zawinięte w gazetę; poszli do łodzi wydeptaną ścieżką, czując pod stopami piach i kamyki, dźwignęli łódź i zepchnęli ją na wodę.

– Wszystkiego dobrego, stary.

– Wszystkiego dobrego – odpowiedział tamten. Umocował wiaźadłami wiosła w dulkach i pochyliwszy się do przodu, zagarnął wodę piórami wiosła i zaczął w ciemnościach wypływać z przystani. Łodzie z innych plaż też wyruszały na morze i stary rybak słyszał, jak ich wiosła zanurzają się i odpychają wodę, chociaż nie mógł nic dojrzeć, gdyż księżyc już zaszedł za wzgórze.

Czasem ktoś przemówił w jakiejś łodzi. Większość ich jednak płynęła w ciszy, przerywanej jedynie pluskiem wiosła. Za wylotem przystani rozproszyły się i każda podążyła w tę stronę oceanu, gdzie spodziewała się znaleźć ryby. Stary pamiętał, że ma wypłynąć daleko; zapach lądu pozostał już w tyle, a on wiosłował prosto w czystą, poranną toń oceanu. Dostrzegł w morzu fosforescencję wodorostów, płynąc nad miejscem, które rybacy zwali wielką studnią, ponieważ była tam nagła głębina licząca siedemset sążni, gdzie gromadziły się wszelkie odmiany ryb dzięki wirowi wytwarzanemu przez prąd uderzający o strome ściany dna oceanu. Tu były skupiska krewetek i ryb używanych na przynęty, a czasem, gdzieś w najgłębszych rozpadlinach, ławice mątw, które nocą wypływały prawie na samą powierzchnię i stawały się żerem wszelkich wędrujących ryb.

Stary czuł w mroku zbliżanie się świtu, a wiosłując, słyszał drżący dźwięk, gdy latające ryby wyskakiwały z wody, i syk ich sztywnych, napiętych skrzydeł, kiedy wzbijały się w ciemność. Bardzo lubił latające ryby: były one największymi jego przyjaciółkami na oceanie. Żał mu było ptaków, a zwłaszcza małych, delikatnych, ciemnych rybitw, które wciąż latały, rozglądając się za czymś i prawie nigdy nic nie znajdując. Pomyślał: „Ptaki mają cięższe życie niż my, z wyjątkiem drapieźników i tych dużych, silnych. Dlaczego stworzono ptaki tak kruche i wątłe jak te jaskółki morskie, jeżeli ocean potrafi być tak okrutny? Jest dobry i bardzo piękny. Ale umie też być okrutny, a przychodzi to nagle, i takie ptaki, co latają muskając wodę i polując, i mają słabe, smutne głosy, są za delikatne na morze”.

Zawsze nazywał w myśli morze: la mar, bo tak nazywają je ludzie po hiszpańsku, gdy je kochają. Czasami ci, co je kochają, mówią o nim złe słowa, ale zawsze tak, jakby chodziło o kobietę. Niektórzy młodzi rybacy – ci, co używali boi jako pływaków do linek i mieli



motorówki kupione wtedy, gdy wątroby rekinów przyniosły im dużo pieniędzy – mówili o nim el mar, co jest rodzaju męskiego. Mówili o nim jak o przeciwniku bądź miejscu, bądź nawet wrogu. Ale stary zawsze myślał o nim w rodzaju żeńskim, jako o czymś, co udziela albo odmawia wielkich łask, a jeśli robi rzeczy straszne i złe, to dlatego, że nie może inaczej. „Księżyc działa na nią jak na kobietę” – myślał.

Wiosłował równo i nie wymagało to wysiłku, bo dobrze utrzymywał szybkość, a powierzchnia oceanu była gładka, tylko prąd kłębił się od czasu do czasu. Pozwalał prądowi wykonywać jedną trzecią pracy i kiedy zaczęło świtać, stwierdził, że jest już dalej, niż się spodziewał być o tej godzinie.

„Przez tydzień obrabiałem wielką studnię i nic nie zdziałałem – pomyślał. – Dziś będę łowił tam, gdzie są ławice bonito i albacore'ów, a może przy nich znajdzie się i jakaś duża sztuka”.

Zanim się na dobre rozwidniło, zarzucił już przynęty i dryfował z prądem. Jedną opuścił na czterdzieści sążni. Druga była na siedemdziesięciu pięciu, a trzecia i czwarta znajdowały się w błękitnej wodzie na głębokości stu i stu dwudziestu pięciu sążni. Każda przynęta zwisała głową w dół, trzon haka tkwił w rybie, mocno przytwierdzonej i zaszytej, a całą jego wystającą część, krzywiznę i ostrze pokrywały świeże sardynki. Wszystkie nanizane były przez oczy, tak że tworzyły półkolistą girlandę na sterczącej stali. Żadna ryba nie mogłaby znaleźć takiej części haka, która nie pachniałaby słodko i nie smakowała dobrze.

Chłopiec dał mu dwa małe, świeże tuńczyki, czyli albacore'y i te wisały na obu najdłuższych linkach niby ciężarki, na pozostałych zaś miał jedną dużą błękitną i jedną żółtą makrelę, których już przedtem używał; były jednakże nadal w dobrym stanie, a wyborne sardynki dodawały im woni i powabu. Każda linka, grubości dużego ołówka, przyczepiona była pętlą do świeżo uciętego, zielonego patyka, tak że wszelkie pociągnięcie czy dotknięcie przynęty musiałyby go wygiąć, każda miała dwa czterdziestosążniowe zwoje, do których można było przywiązać inne, zapasowe, toteż w razie potrzeby ryba mogła wybrać ponad trzysta sążni linki.

Obserwował teraz, czy trzy patyki nie wyginają się przez burtę łodzi, i wiosłował powoli, aby utrzymać linki pionowo na ich właściwych głębokościach. Było już całkiem widno i słońce miało wzejść lada chwila.

Skrawek słońca wynurzył się z morza i stary ujrzał daleko w kierunku brzegu inne łodzie, ledwo widoczne nad wodą, rozproszone w poprzek prądu. Potem słońce pojaśniało, na wodę padł blask, a kiedy wynurzyło się zupełnie, gładkie morze odbiło go staremu w oczy tak, że zabołały ostro, więc wiosłował nie patrząc w tę stronę. Spoglądał w dół i obserwował linki, które zbiegały prosto w mrok wody. Utrzymywał je bardziej pionowo niż inni rybacy, ażeby na każdym poziomie w ciemnościach nurtu przynęta czekała na wszelkie przepływające ryby dokładnie tam, gdzie chciał ją mieć. Inni pozwalali przynętom unosić się z prądem i nieraz znajdowały się one na głębokości sześćdziesięciu sążni, kiedy rybak myślał, że są na stu.

„Ale ja to robię dokładnie – myślał stary. – Tylko że nie mam już szczęścia. Chociaż kto wie? Może dzisiaj? Każdy dzień jest nowym dniem. Lepiej jest mieć szczęście. Ale ja wolę być dokładny. Bo wtedy, jak szczęście przychodzi, jesteś gotów”.

Słońce było teraz o dwie godziny wyżej i oczy nie bolały już tak od patrzenia ku wschodowi. Tylko trzy łodzie były jeszcze widoczne i ledwie wystawały nad wodę daleko w stronie lądu.

„Przez całe życie poranne słońce raziło mnie w oczy – pomyślał. – A jednak wciąż widzę dobrze. Pod wieczór mogę patrzeć prosto w słońce i nie robi mi się czarno. A ono wtedy ma przecie większą siłę. Tylko że rano jest bolesne”.

Właśnie w tej chwili spostrzegł przed sobą sokoła morskiego krążącego po niebie na długich, czarnych skrzydłach. Ptak szybko opuścił się skosem w dół, ściągnąwszy skrzydła do tyłu, a potem zaczął krążyć znowu.

– Coś tam ma – powiedział na głos stary. – Nie wypatruje tak sobie.

Powiosłował wolno i spokojnie ku miejscu, gdzie ptak kołował. Stary nie śpieszył się i linki wciąż utrzymywał pionowo. Ale wszedł

niecو w prąd, tak że wprawdzie nadal płynął prawidłowo, to jednak szybciej, niżby to robił, gdyby nie usiłował wykorzystać ptaka.

Sokół wzbił się wyżej w powietrze i znowu krążył na nieruchomych skrzydłach. A potem nagle runął w dół i stary ujrzał latające ryby, które wyrwały się z wody i poszybowały rozpaczliwie nad jej powierzchnią.

– Delfin – powiedział głośno. – Duży delfin.

Złożył wiosła na dnie łodzi i wyjął spod dziobu niewielką linkę. Miała przyponę z drutu i średniej wielkości hak, na który nasadził jedną z sardynek. Spuścił linkę za burtę i uwiązał ją do pierścienia na rufie. Potem założył przynętę na drugą linkę, którą zostawił zwiniętą w cieniu dziobu. Znow chwycił za wiosła i śledził długoskrzydłego, czarnego ptaka, który teraz kołował nisko nad wodą.

Kiedy tak patrzył, ptak nagle znurkował składając skośnie skrzydła, po czym zaczął nimi trzepotać dziko i bezskutecznie w pogoni za latającymi rybami. Stary zauważył lekkie wydęcie wody, którą wypierały duże delfiny, też płynąc za uciekającymi. Delfiny prudy wodę wprost pod rybami i mknąc tak szybko musiały znaleźć się w miejscu, gdzie miały opaść. „To duża ławica delfinów – pomyślał stary. – Rozpostarły się szeroko i latające ryby mają niewielkie szansę. Ptak nie ma żadnych. Latające ryby są dla niego za duże i poruszają się za szybko”.

Patrzył, jak ryby wciąż od nowa wypryskiwały z wody, i śledził bezskuteczne ruchy sokoła. „Ta ławica wymknęła mi się – pomyślał. – Płyną za prędko i są za daleko. Ale może mi się trafi jakaś zbłąkana sztuka i może moja wielka ryba jest gdzieś blisko nich. Moja wielka ryba musi przecież gdzieś być”.

Obłoki nad lądem spiętrzyły się teraz jak góry i brzeg był już tylko długą, zieloną linią, za którą widniały szarobłękitne wzgórza. Woda stała się ciemnoniebieska, tak ciemna, że prawie fioletowa: Kiedy w nią spojrział, zobaczył w ciemnej wodzie czerwono rozsiany plankton i dziwne światło rzucane przez słońce. Pilnował, żeby linki biegły prosto w dół, znikając w głębinie, i rad był, iż widzi tyle planktonu, bo oznaczało to, że są tu ryby. Dziwne światło, które słońce, podniósłszy się wyżej, zapalało w wodzie, wróżyło dobrą pogodę,

podobnie jak kształt obłoków nad lądem. Ale ptaka prawie nie było już widać i nic nie ukazywało się na powierzchni, prócz jednej czy drugiej plamy żółtych, zbielejących od słońca wodorostów sargassowych i fiołkowego, kształtnego, opalizującego, żelatynowego pęcherza portugalskiej meduzy, unoszącej się tuż przy łodzi. Obróciła się na bok, a potem wyprostowała. Spływała wesoło jak banieczka, a za nią snuły się w wodzie jej długie na jard, zabójcze fiołkowe nici.

– Aqua mola – powiedział rybak. – Ty kurwo.

Lekko robiąc wiosłami spojrział w wodę i dostrzegł drobne ryby, które były barwy podobnej do snujących się nici meduzy i płynęły między nimi, w niewielkim cieniu, jaki rzucała. Ryby te były odporne na jej jad. Natomiast ludzie odporni nie byli i zdarzało się, że kiedy stary wyciągał rybę, a nici meduzy, przywarły do linki, pozostały na niej, oślizłe i fiołkowe, występowały mu na rękach i dłoniach pręgi i rany podobne do tych, jakie powoduje trujący bluszcz albo dąb. Tylko, że te zatrucia od aqua mola pojawiały się szybko i uderzały niby smagnięcie biczem.

Opalizujące banieczki były piękne. Ale były też najzdradliwszą rzeczą w morzu i stary lubił patrzeć, jak je pożerają duże morskie żółwie. Żółwie zobaczywszy je, zbliżały się do przodu, po czym zamykały oczy i wtedy, całkowicie osłonięte pancerzem, zjadały meduzy razem z niemi. Stary lubił przyglądać się, jak to robią, i lubił też deptać meduzy na plaży po sztormie, i słuchać, jak pękają, gdy je naciskał zrogowaciałą podeszwą stopy.

Lubił żółwie zielone i szylkretowe za ich elegancję, żwawość i dużą wartość, a z przyjaznym lekceważeniem odnosił się do ogromnych, głupich wielkogłowów, okrytych żółtymi płytkami pancerza, kochających się bardzo dziwnie i pożerających radośnie, z przymkniętymi oczami, portugalskie meduzy.

Nie miał żadnych mistycznych wyobrażeń na temat żółwi, chociaż od wielu lat pływał w łodziach żółwiowych. Współczuł im wszystkim, nawet tym olbrzymom, które były długie jak czółno i ważyły tonę. Większość ludzi nie ma serca do żółwi, ponieważ serce żółwia zwykło bić godzinami, kiedy już rozcięto i wypatroszono zwierzę. Ale stary myślał: „I ja też mam takie serce, a nasze ręce i nogi są do

siebie podobne”. Zjadał białe jaja żółwie, żeby się wzmocnić. Jadł je przez cały maj, aby we wrzeźniu i październiku mieć dosyć sił na prawdziwie wielkie ryby.

Co dzień wypijał też kubek tranu rekinowego z dużego bębna, który stał w szopie, gdzie wielu rybaków przechowywało swój sprzęt. Ten tran mógł brać każdy, kto chciał. Większość rybaków nie cierpiała jego smaku, ale nie było to gorsze od wstawania o zwykłej, wczesnej godzinie, a doskonale na wszelkie przeziębienia i grypy i dobre na oczy.

Teraz stary podniósł wzrok i spostrzegł, że ptak krąży znowu.

– Znalazł rybę – powiedział głośno. Latające ryby nigdzie nie rozcinały powierzchni, nie było też widać rozproszonych ryb-przynęt. Ale kiedy stary tak patrzył, mały tuńczyk wyprysnął w powietrze i spadł głową na dół w wodę. Zaśnił srebrzyście w słońcu, a gdy już opadł z powrotem, inne poczęły wylatywać w górę i tak skakały na wszystkie strony, zapieniając wodę i dając długie susy w pogoni za rybami. Okrężały je i pędziły przed sobą.

„Jeżeli nie będą płynęły za szybko, dostanę się między nie” – pomyślał stary i śledził ławicę, która biało burzyła wodę, i sokoła spadającego teraz na ryby przedzierające się w popłochu na powierzchnię.

– Wielką mam pomoc z tego ptaka – powiedział. Właśnie w tej chwili linka rufowa naprężyła mu się pod stopą, którą przytrzymał jej pętlę; puścił więc wiosła i wyczuł drżący ciężar małego tuńczyka, gdy trzymając linkę zaczął ją wybierać. Drżenie wzmagało się, w miarę jak ciągnął, aż wreszcie zobaczył w wodzie niebieski grzbiet i złote boki ryby, zanim przerzucił ją przez burtę do łodzi. Legła na rufie w słońcu, wyprężona, o kształcie pocisku, a jej wielkie nierozumne oczy były szeroko rozwarte, gdy wybijała z siebie życie o deski łodzi szybkimi, rozedrganymi uderzeniami zgrabnego, śmigłego ogona. Stary z litości zadał jej ostateczny cios w głowę i kopnięciem wrzucił dygocące jeszcze ciało w cień rufy.

– Albacore – powiedział na głos. – Będzie z niego piękna przynęta. Musi ważyć z dziesięć funtów.

Nie pamiętał, kiedy po raz pierwszy zaczął głośno mówić do siebie w samotności. Dawniej śpiewał, gdy był sam, zdarzało się też, że



śpiewał sobie nocą, sterując podczas wachty na kutrach czy łodziach żółwiowych. Prawdopodobnie zaczął mówić na głos, kiedy został sam jeden po odejściu chłopca. Ale nie przypominał sobie dokładnie. Jeżeli wypływał na połów razem z chłopcem, zazwyczaj rozmawiali wtedy tylko, kiedy to było konieczne. Gadali w nocy albo w chwili, gdy zła pogoda pchała ich w burzę. Powstrzymywanie się od zbędnych rozmów na morzu uważane było za cnotę i stary zawsze był tego zdania i postępował odpowiednio. Teraz jednakże nieraz wypowiadał głośno swoje myśli, bo nie było nikogo, komu mogłyby się uprzykrzyć.

– Gdyby inni usłyszeli, że głośno mówię, pomyśleliby, że zwariowałem – powiedział na głos. – Ale ponieważ nie jestem wariatem, więc mi to obojętne. Bogaci mają w łodzi radio, które do nich gada i przynosi im nowiny baseballowe. „Teraz nie czas zastanawiać się nad baseballlem – pomyślał. – Teraz trzeba się skupić tylko na jednym. Na tym, do czego się urodziłem. Przy tej ławicy może być jakaś duża sztuka. Złapałem tylko marudera spośród tych albacore'ów, które tu żerowały. Reszta płynie szybko i jest już daleko. Wszystko, co dziś pokazuje się na powierzchni, płynie bardzo prędko i na północny wschód. Może to pora dnia? A może jakaś nie znana mi oznaka pogody?”

Nie mógł już dojrzeć zieleni brzegu, widział tylko szczyty niebieskich wzgórz, które bieleły, jakby przysypane śniegiem, a nad nimi obłoki przypominające wysokie, śnieżne góry. Morze było bardzo ciemne, a światło tworzyło w wodzie pryzmaty. Tysięczne punkciki planktonu zgasły teraz, kiedy słońce podeszło wyżej, i stary dostrzegł w błękitnej wodzie te wielkie pryzmaty i linki opadające pionowo w wodę, która była na milę głęboka.

Tuńczyki – rybacy zwali wszystkie ryby tego gatunku tuńczykami i rozróżniali je według właściwych nazw tylko wtedy, gdy przyszło je sprzedać albo zamienić na przynęty – opuściły się znowu głębiej. Słońce było teraz gorące i stary wioślując, czuł je na karku; czuł także, że pot ścieka mu po plecach.

„Mógłbym zwyczajnie podryfować – pomyślał – i przespać się, owinąwszy linkę na palcu stopy, żeby mnie przebudziła. Ale dziś mija osiemdziesiąt pięć dni i powinienem łowić porządnie”.

Właśnie wtedy, obserwując linki, zauważył, że jeden ze sterczących zielonych patyków wygiął się raptownie w dół.

– Idę – powiedział. – Już idę. – Unikając wstrząsów, złożył wiosła na dnie łodzi. Sięgnął po linkę i przytrzymał ją delikatnie między dużym i wskazującym palcem prawej ręki. Nie czuł napięcia ani ciężaru i linkę trzymał lekko. A potem powtórzyło się to znowu. Tym razem było to pociągnięcie próbne, nie uporczywe ani mocne, wiedział już dokładnie, o co chodzi. Na głębokości stu sążni marlin zżerał sardynki pokrywające ostrze i trzon haka, w miejscu, gdzie ręcznie kute żelazo wystawało z głowy małego tuńczyka.

Stary przytrzymał linkę miękko, delikatnie, a lewą ręką odwiązał ją ostrożnie z patyka. Teraz mógł ją przepuszczać między palcami, nie dając rybie wyczuć napięcia.

„Musi być wielki, jeżeli wypłynął tak daleko w tym miesiącu – pomyślał. – Jedz, rybo, jedz! Proszę cię, zjedz je! Patrz, jakie świeżutkie, a ty tam tkwisz po ciemku, w tej zimnej wodzie, na sześćset stóp głęboko. Zrób jeszcze jedno koło w ciemności, zawróć i zjedz je”.

Uczuł lekkie, delikatne pociągnięcie; potem mocniejsze targanie: widocznie głowę którejś sardynki trudniej było zerwać z haka. A później wszystko ustało.

– No, chodź – powiedział głośno. – Zrób jeszcze jedno koło. Tylko je powąchaj. Prawda, jakie śliczne? Zjedz je porządnie, a potem będziesz miała tuńczyka. Jędrny jest, zimny i ładny. Nie wstydź się, rybo. Jedz!

Czekał, trzymając wciąż linkę między dużym i wskazującym palcem; śledził zarazem inne linki, gdyż ryba mogła wypłynąć w górę albo zagłębić się bardziej. Wreszcie to samo delikatne pociągnięcie powtórzyło się znowu.

– Weźmie – powiedział na głos. – Boże, dopomóż mu, żeby wziął. Jednakże marlin nie wziął. Odpłynął i stary nie czuł już nic.

– Nie mógł sobie pójść – rzekł stary. – Sam Bóg wie, że nie mógł. Robi koło. Może już go brali na hak i zapamiętał to sobie. Znow wyczuł łagodne trącenie linki i uradował się.

– Robił tylko to swoje koło – powiedział. – Weźmie. Uszczęśliwiony, poczuł delikatne ciągnięcie, a potem jakiś opór i

niewiarygodny ciężar. Była to waga ryby; stary pozwolił lince sunąć w dół, w dół, w dół i odwijać pierwszy z dwóch zapasowych zwojów. Kiedy tak wylatywała, sunąc mu lekko między palcami, mógł nadal wyczuć ogromny ciężar, choć nacisk palców był prawie niedostrzegalny.

– Co za ryba! – powiedział. – Ma teraz hak bokiem w pysku i odpływa z nim.

„Potem zawróci i połknie go” – pomyślał. Nie wyrzekł tego jednak, gdyż wiedział, że jeśli się powie na głos coś dobrego, może się to nie zdarzyć. Domyślał się, jak wielka jest owa ryba, i wyobrażał sobie, jak odpływa w ciemność, trzymając tuńczyka w poprzek pyska. W tej chwili uczył, że przestała płynąć, ale ciężar nie ustępował. Potem wzrósł jeszcze, więc stary wypuścił więcej linki. Na moment zacisnął mocniej palce, a ciężar zwiększył się i ciągnął prosto w dół.

– Wzię! – powiedział. – Teraz niech sobie dobrze to zje. Pozwolił lince sunąć między palcami, a tymczasem wyciągnął lewą rękę i uwiązał wolny koniec obu zapasowych zwojów do pętli dwóch zwojów następnej linki. Był teraz gotów. Miał w rezerwie trzy czterdziestosążniowe zwoje, a także ten, którego obecnie używał.

– Zjedz jeszcze trochę – powiedział. – Zjedz dobrze. „Zjedz tak, żeby ostrze haka trafiło do serca i zabiło cię – pomyślał. – Wyplłyn gładko i pozwól, żebym wbił w ciebie harpun. W porządku. Jesteś gotowy? Dostyc już nasiedziałeś się przy stole?”

– Teraz! – powiedział głośno i oburącz szarpnął mocno za linkę, wybrał jej jard, a potem chwytając ją kolejno to jedną ręką, to drugą, zaczął ciągnąć całą siłą ramion i rozkołysanym ciężarem ciała.

Nic nie pomogło. Ryba powoli odpływała i stary nie mógł jej podciągnąć nawet o cal. Linkę miał mocną, przeznaczoną na ciężkie ryby, więc podparł ją ramieniem, aż naprężyła się tak, że prysnęły z niej kropelki wody. Zaczęła wydawać powolny syczący dźwięk, a on trzymał ją dalej, zaparty o ławę wioślarską, odchylony do tyłu, żeby stawić opór napięciu. Łódź zaczęła wolno posuwać się ku północnemu zachodowi.

Ryba płynęła nieprzerwanie i tak z wolna sunęli po spokojnym morzu. Inne przynęty wciąż jeszcze były w wodzie, ale nie miał na to

rady.

– Szkoda, że nie ma tu chłopca – powiedział głośno. – Holuje mnie ryba i jestem jak kołek do uwiązywania lin. Mógłbym zamocować tę linkę. Ale wtedy marlin mógłby ją zerwać. Muszę go trzymać ze wszystkich sił i oddawać linkę, jak będzie trzeba, Bogu dzięki, że on płynie przed siebie, a nie schodzi w głąb.

„No, ale nie wiem, co zrobię, jak postanowi zejść w głąb. Nie wiem też, co zrobię, jeżeli pójdzie na dno i zdechnie. Ale coś przecież zrobię. Dużo jest rzeczy, które mogę zrobić”.

Przytrzymał linkę na plecach i obserwował jej skos w wodzie i stałe posuwanie się łodzi ku północo-zachodowi.

„To go zabije – myślał. – Nie może tego robić bez końca”.

Jednakże w cztery godziny później ryba wciąż równo płynęła ku pełnemu morzu, holując łódź, a stary wciąż zaparty był silnie i linkę trzymał na grzbiecie.

– Południe było, kiedy go złapał – powiedział. – A jeszcze go nie widziałem.

Nim schwytał rybę, nacisnął mocno na oczy kapelusz, który teraz wrzynał mu się w czoło. Stary czuł też pragnienie, więc ukląkł i uważając, aby nie szarpnąć linki, podsunął się jak najdalej ku dziobowi i jedną ręką sięgnął po butelkę z wodą. Otworzył ją i wypił trochę. Potem oparł się o dziób. Odpoczywał, przysiadłszy na złożonym tam maszcie i żaglu i starał się nie myśleć, tylko wytrwać.

Potem obejrzał się za siebie i stwierdził, że lądu nie widać. „Nie szkodzi – pomyślał. – Zawsze mogę wracać na łunę światła Hawany. Mam jeszcze dwie godziny do zachodu słońca, a może on do tego czasu wypłynie. Jeżeli nie, może wypłynie przy księżycu. A jak i tego nie zrobi, może wypłynąć o wschodzie. Nie mam kurczów i czuję się silny. To on ma hak w pysku. Ale cóż to za ryba, żeby tak ciągnąć! Musiał mocno zacisnąć pysk na drucie. Chciałbym go zobaczyć choć raz, żeby wiedzieć, z czym mam do czynienia”.

O ile mógł się zorientować, obserwując gwiazdy, ryba przez całą noc nie zmieniła kursu ani kierunku. Kiedy słońce zaszło, zrobiło się zimno i pot przysechł mu chłodno na grzbiecie i rękach, i na starych nogach. Jeszcze za dnia stary zdjął worek przykrywający pudełko z przynętami i rozłożył na słońcu, żeby go przesuszyć. Po zachodzie

obwiązał go sobie wokół szyi, tak że worek zwiśł mu na plecy, a wtedy ostrożnie wsunął go pod linkę, którą teraz trzymał na ramieniu. Worek stanowił dla niej podkładkę, a stary znalazł taki sposób oparcia się o dziób łódki, że było mu prawie wygodnie. W gruncie rzeczy pozycja ta była zaledwie trochę mniej nieznośna, ale jemu wydawała się prawie wygodna.

„Nie mogę nic z nim zrobić i on nie może nic zrobić ze mną – pomyślał. – Przynajmniej dopóki będzie dalej tak postępował”.

Raz wstał, oddał mocz przez burtę łodzi, popatrzał na gwiazdy i sprawdził kurs. Linka wyglądała w wodzie jak fosforyzująca pręga biegnąca prosto od ramienia starego. Płynęli teraz wolniej i łuna Hawany nie była tak mocna, wiedział więc, że prąd musi ich znosić ku wschodowi. „Jeżeli stracę z oczu światła Hawany, to będzie znaczyło, że płyniemy bardziej na wschód – pomyślał. – Bo gdyby ryba trzymała kurs, powinien bym je widzieć jeszcze przez szereg godzin. Ciekawe, jak wypadły dzisiejsze wielkie rozgrywki ligowe w baseballu. Wspaniale byłoby usłyszeć to przez radio”. A później pomyślał: „Myśl tylko o tym, co należy. Miej w głowie to, co robisz. Nie wolno ci zrobić żadnego głupstwa”.

Następnie powiedział na głos:

– Chciałbym tu mieć chłopca. Żeby mi pomógł i żeby to zobaczył.

„Nikt nie powinien zostawać sam na starość – myślał. – Ale to nieuniknione. Muszę pamiętać, żeby zjeść tuńczyka, zanim się zepsuje, bo trzeba zachować siły. Pamiętaj, że choćbyś nie bardzo miał ochotę, musisz go zjeść rano. Pamiętaj!” – powiedział do siebie.

W nocy podpłynęły do łodzi dwa delfiny i słyszał, jak kotłowały się w wodzie i dmuchały. Mógł rozróżnić odgłos wydmuchu samca i podobne do westchnień dmuchnięcia samicy.

– Poczciwe są – powiedział. – Bawią się, figlują i kochają wzajemnie. To nasi bracia, tak jak latające ryby.

A potem zrobiło mu się żal wielkiego marlina, którego schwytał na hak. „Wspaniały jest, dziwny i kto wie, ile ma lat – pomyślał. – Jeszcze nigdy nie spotkałem równie silnej ryby ani takiej, która postępowałaby równie dziwnie. Może jest za mądry, żeby skakać. Mógłby mnie wykończyć, gdyby skoczył albo rzucił się nagle. Ale pewnie już nieraz brali go na hak i wie, że tak właśnie



powinien walczyć. Nie może wiedzieć, że ma przeciwko sobie tylko jednego człowieka, ani że ten człowiek jest stary. Ale cóż to za ogromna sztuka i ileż przyniesie na targu, jeżeli mięso jest dobre! Wziął przynętę, jak na samca przystało, i ciągnie jak samiec, a walczy bez popłochu. Ciekawe, czy ma jakieś plany, czy też to taki sam straceniec jak ja?”

Przypomniał sobie, jak kiedyś złowił jednego z pary marlinów. Samiec zawsze pozwala samicy, by pierwsza się pożywiła: schwytana ryba, samica, rozpoczęła wtedy dzikie, oszalałe, rozpaczliwe zapasy, które wprędce ją wyczerpały, a przez cały ten czas samiec pozostał przy niej, przepływając w poprzek linki i krążąc ze swoją towarzyszką na powierzchni. Trzymał się tak blisko, iż stary obawiał się, że przetnie linkę ogonem, który był ostry jak kosa i niemal tejże wielkości i kształtu. Kiedy stary przyciągnął rybę osękiem i trzymając ją za miecz, szorstki na krawędziach niczym tarka, walił pałką po łbie, aż przybrała barwę prawie taką jak odwrotna strona lustra, i kiedy wreszcie z pomocą chłopca wrzucił ją do łodzi – samiec nadal pozostał przy burcie. Potem, gdy stary rozplątywał liny i przygotowywał harpun, samiec wyskoczył tuż obok wysoko w powietrze, żeby zobaczyć, gdzie jest samica, a następnie znurkował głęboko, rozpościerając swe lawendowe skrzydła, czyli płetwy piersiowe, i ukazując szerokie lawendowe pasy na ciele. Stary pamiętał, że był piękny i że pozostał przy łodzi.

„To była najsmutniejsza rzecz, jaką u nich widziałem – myślał. – Chłopcu też było smutno, więc przeprosiliśmy rybę i zarżnęliśmy ją szybko”.

– Chciałbym, żeby chłopiec tu był – powiedział głośno i oparł się o półokrągłe deski dziobu, czując poprzez trzymaną na ramionach linkę moc wielkiej ryby płynącej nieprzerwanie ku wiadomemu sobie celowi.

„No i przez mój podstęp musiał dokonać wyboru – pomyślał stary. – Jego wyborem było pozostać w głębokich, ciemnych wodach, daleko od wszelkich sideł, pułapek i podstępów. Moim wyborem było udać się tam po niego, daleko od wszystkich ludzi. Od wszystkich ludzi na świecie. A teraz jesteśmy złączeni ze sobą i trwamy tak od południa. I nikt nie może dopomóc żadnemu z nas. Może nie

powinienem być zostać rybakiem. Ale do tego właśnie się urodziłem. Muszę koniecznie pamiętać, żeby zjeść tuńczyka, jak się rozwidni”.

Na pewien czas przed brzaskiem coś pochwyciło jedną z przynęt, które zwisały w tyle łodzi. Usłyszał, że patyk pęka, a linka zaczyna wylać przez burtę łodzi. W ciemnościach wydobył nóż z pochewki i przenosząc całe napięcie trzymanej linki na lewe ramię, odchylił się do tyłu i przeciął tamtą o drewnianą krawędź burty. Potem przeciął linkę, która była najbliżej, i po omacku związał wolne końce zapasowych zwojów. Pracował zgrabnie jedną ręką, a zwoje nadeptał, by je przytrzymać, kiedy dociągał węzły. Miał teraz sześć zwojów linki w zapasie. Było ich po dwa z każdej odciętej przynęty i dwa z tej, którą wzięła ryba, a wszystkie związane razem.

„Jak się rozwidni – pomyślał – podsunę się do tej czterdziestosążniowej linki, odetnę ją też i zwiążę zapasowe zwoje. Stracę dwieście sążni dobrego katalońskiego cordelu, a także haki i przypony. To można odkupić. Ale kto mi odkupi rybę, jeżeli złapię inną i ta mi ją odetnie? Nie wiem, co to za ryba wzięła w tej chwili przynętę. Mógł to być marlin albo ryba-miecz, albo rekin. Nawet jej nie wyczułem. Za szybko musiałem jej się pozbyć”.

Głośno powiedział:

– Chciałbym tu mieć chłopca.

„Ale nie masz chłopca – pomyślał. – Masz tylko siebie samego i lepiej od razu podsunąć się do ostatniej linki, i chociaż jest jeszcze ciemno, odciąć ją i złączyć oba zapasowe zwoje”.

Tak też zrobił. Trudne to było po ciemku; raz marlin szarpnął się, a stary padł na twarz i rozciął sobie skórę pod okiem. Krew pociekła mu po policzku. Ale zakrzepła i przyschła, zanim dotarła do brody, on zaś popełznął z powrotem na dziób i oparł się tam o deski. Poprawił worek i ostrożnie przesunął linkę tak, że znalazła się w innym miejscu ramienia; przytrzymując ją barkami, starał się wyczuć ciężar ryby, a potem ręką sprawdził, jak łódź posuwa się po wodzie.

„Ciekawe, dlaczego on tak się szarpnął? – pomyślał. – Może drut mu się osunął po wielkim wzgórzu grzbietu. Z pewnością plecy nie bolą go tak paskudnie jak mnie. Ale chyba nie może ciągnąć tej łodzi bez końca, choćby był nie wiem jaki wielki. Teraz już usunąłem

wszystko, co mogłoby mi przeszkadzać, i mam duży zapas linki, a więcej człowiek żądać nie może”.

– Rybo – powiedział łagodnie – zostanę z tobą, póki nie umrę.

„I ona też pewnie ze mną zostanie” – myślał stary i czekał, aż się rozwidni. Przed świtem zrobiło się zimno, więc przycisnął się do desek, żeby się rozgrzać. „Wytrzymam tak długo jak i ona” – pomyślał.

O pierwszym brzasku zobaczył linkę wyciągniętą daleko w głąb wody. Łódź płynęła nieprzerwanie i kiedy ukazał się pierwszy rąbek słońca, promienie padły na prawe ramię starego.

– Idzie na północ – powiedział.

„Prąd musiał znieść nas daleko na wschód – myślał. – Dobrze byłoby, gdyby on płynął z prądem. To by wskazywało, że się męczy”.

Kiedy słońce podeszło wyżej, stary uświadomił sobie, że marlin się nie męczy. Jeden był tylko pomyślny znak. Kąt nachylenia linki wskazywał, że płynie na mniejszej głębokości. Nie musiało to oznaczać, że wyskoczy, ale mógł to zrobić.

– Boże, pozwól, żeby wyskoczył! – powiedział stary.

– Mam dosyć linki, żeby dać sobie z nim radę.

„Może, jak zdołam trochę zwiększyć naprężenie, poczuje ból i wyskoczy – pomyślał. – Teraz, kiedy jest widno, niechże wyskakuje, bo wtedy napełni sobie powietrzem pęcherze wzdłuż kręgosłupa i nie będzie mógł zejść głęboko, żeby tam zdychać”.

Spróbował mocniej naprężyć linkę, ale odkąd schwytał marlina, była napięta do samej granicy wytrzymałości; odchylając się w tył, ażeby ją naciągnąć, wyczuł jej sztywność i pojął, że więcej napinać jej nie może. „Nie wolno mi nią szarpnąć – pomyślał. – Każde szarpnięcie poszerza ranę zrobioną przez hak i kiedy ryba skoczy, może go wyrzucić. Tak czy owak lepiej się czuję przy słońcu i raz przynajmniej nie muszę w nie patrzeć”.

Do linki przywarły żółte wodorosty, ale wiedział, że stawiają rybie dodatkowy opór, więc był zadowolony. Były to te żółte wodorosty zatokowe, które tak fosforyzowały w nocy.

– Rybo – powiedział. – Kocham cię i szanuję bardzo. Ale zabiję cię, nim ten dzień się skończy.

„Miejmy nadzieję, że tak będzie” – pomyślał.

Z północy nadleciał ku łodzi mały ptaszek. Był to drozd i leciał tuż nad wodą. Stary zauważył, że jest bardzo zmęczony.

Ptaszek sfrunął na rufę łodzi i tam przysiadł. Potem okrążył głowę człowieka i siadł na lince, gdzie było mu wygodniej.

– Ile masz lat? – zapytał go stary. – Czy to twoja pierwsza wyprawa?

Ptak patrzył na mówiącego. Był zbyt zmęczony, aby obejrzeć linkę, i kołysał się, ściskając ją mocno delikatnymi łapkami.

– Sztywna jest – powiedział mu stary. – Aż za sztywna. Nie powinieneś być tak zmęczony po bezwietrznej nocy. Co to się robi z tymi ptakami!

„Nad morze wylatują im na spotkanie jastrzębie” – pomyślał. Ale nie powiedział tego ptakowi, który i tak nie mógł go zrozumieć, a o jastrzębiach miał się dowiedzieć aż za prędko.

– Odpocznij sobie dobrze, ptaszku – rzekł. – A potem leć i zaryzykuj jak każdy człowiek, ptak czy ryba.

Mówienie pokrzepiło go na duchu, bo w nocy plecy mu zdrętwiały i bolały teraz naprawdę.

– Zostań w moim domu, jeżeli chcesz, ptaku – powiedział. – Żałuję, że nie mogę wciągnąć żagla i zabrać cię na ląd z tą lekką bryzą, która się zrywa. Ale jestem tu z przyjacielem.

Właśnie w tej chwili ryba szarpnęła się nagle, a stary padł na dziób łodzi i byłby wyleciał za burtę, gdyby nie zaparł się mocno i nie wypuścił trochę linki.

Ptak zerwał się w chwili, gdy nastąpiło szarpnięcie, i stary nawet nie zauważył jego odlotu. Pomacał ostrożnie linkę prawą ręką i spostrzegł, że dłoń mu krwawi.

– Coś go zabolalo – powiedział na głos i począł ciągnąć za linkę, by się przekonać, czy zdoła ruszyć marlina. Gdy jednak była już bliska pęknięcia, przestał i przytrzymał ją napiętą.

– Czujesz to teraz, rybo – powiedział. – A Bóg świadkiem, że i ja także.

Rozejrzał się za ptakiem, bo miłe byłoby mu jego towarzystwo. Ale ptaka nie było.

„Niedługo tu siedziałeś – pomyślał. – Ale tam, gdzie lecisz, gorzej ci będzie, zanim dotrzesz do brzegu. Jakże mogłem pozwolić, żeby

ryba tak mnie skaleczyła tym jednym szybkim szarpnięciem? Widocznie całkiem głupieję. A może patrzałem na ptaszka i o nim myślałem? Teraz skupię uwagę na swojej robocie, a poza tym muszę zjeść tuńczyka, żeby mi sił nie zabrakło”.

– Chciałbym tu mieć chłopca, a także trochę soli – powiedział głośno.

Przeniósł ciężar linki na lewy bark i ukląkłszy ostrożnie, obmył rękę w morzu i przytrzymał ją zanurzoną przez minutę z górami, patrząc, jak krew wysnuwa się z niej, a woda przepływa po dłoni w miarę ruchu łodzi.

– Porządnie zwolnił – powiedział.

Chętnie by dłużej trzymał dłoń w słonej wodzie, ale obawiał się, że ryba znów szarpnie, więc wstał, zaparł się mocno i podniósł rękę ku słońcu. Było to tylko piekące skaleczenie od linki, która rozcięła mu dłoń. Ale znajdowało się na jej wewnętrznej, pracującej stronie. Wiedział, że nim to wszystko się skończy, ręce będą mu potrzebne, więc nierad był, że linka go skaleczyła, zanim się coś zaczęło.

– Teraz – powiedział, kiedy ręka obeschła – muszę zjeść tego małego tuńczyka. Mogę go sięgnąć osękami i zjeść tutaj wygodnie.

Ukląkł, wymacał osękami tuńczyka pod rufą i przyciągnął go do siebie, uważając, żeby nie zahaczyć o zwoje. Przytrzymał linkę na lewym ramieniu i podparłszy się lewą ręką, zdjął rybę z haka, a osęk odłożył na miejsce. Przycisnął tuńczyka kolanem i zaczął odkrawać podłużne pasma ciemnoczerwonego mięsa od łba aż po ogon. Były one klinowatego kształtu, a ciął je od kręgosłupa do brzucha.

Ukrajawszy sześć pasków, rozłożył je na deskach dziobu, otarł nóż o spodnie, podniósł szkielet za ogon i wyrzucił za burtę.

– Chyba nie zjem całego – powiedział i przeciął w poprzek jeden z pasków. Czuł nieprzerwane, twarde napięcie linki, a w lewej ręce chwycił go kurcz. Zacisnęła się mocno na ciężkim sznurze i stary spojrzął na nią z odrazą.

– Cóż to za ręka – powiedział. – Kurcz się, jeśli chcesz. Przemień się w szpon. Nic na tym nie skorzystasz.

„No, dalej – pomyślał i spojrzął w ciemną wodę na skośnie biegnącą linkę. – Pojedź teraz, to ręka ci się wzmocni. To nie jej



wina, bo już wiele godzin jesteś z tą rybą. Ale nie możesz przy niej tkwić bez końca. Zjedz teraz bonito”.

Wziął kawałek, włożył do ust i począł z wolna przeżuwać. Nie było to nieprzyjemne.

„Zżuj dobrze – myślał – i wysсий wszystkie soki. Niezłe by to było jedzenie z odrobiną cytryny albo solą”.

– Jakże się czujesz? – zapytał zdrętwiałej ręki, która była niemal równie sztywna jak ciało trupa. – Zjem jeszcze trochę dla ciebie.

Zjadł drugą część kawałka, który przeciął na pół. Przeżuł go starannie, po czym wypluł skórę.

– No, jak tam, ręko? A może jeszcze za wcześnie pytać? Wziął następny pasek mięsa i przeżuł go w całości.

„To silna, pełnokrwista ryba – pomyślał. – Miałem szczęście, że złapał ją, a nie delfina. Delfin jest za słodki. Ta prawie wcale nie jest słodka, a ma w sobie siłę”.

„Tylko praktyczność ma sens – myślał. – Chciałbym mieć trochę soli. I nie wiem, czy słońce zepsuje, czy wysuszy to, co zostało, więc lepiej zjeść wszystko, chociaż nie jestem głodny. Marlin płynie spokojnie i równo. Zjem wszystko i potem będę gotów”.

– Cierpliwości, ręko – powiedział. – Robię to dla ciebie.

„Chętnie bym nakarmił marlina – pomyślał. – To mój brat.

Ale muszę go zabić i zachować na to siły”. Powoli i sumiennie zjadał wszystkie klinowate paski rybiego mięsa. Wyprostował się, ocierając rękę o spódnie.

– No – powiedział. – Możesz puścić linkę, ręko. Będę sobie z nią radził samą prawą, dopóki nie skończysz z tymi bzdurami. – Przydeptał lewą stopą napiętą linkę, którą przedtem trzymał w lewej ręce, i pochylił się, żeby stawić opór naciskowi na grzbiet.

– Boże, dopomóż, żeby mnie kurcz puścił – powiedział. – Bo nie wiem, co ten marlin robi.

„Jednak wydaje się spokojny – pomyślał – i działa według planu. Tylko jaki jest jego plan? A mój? Mój muszę wymyślać na oczekaniu, zależnie od tego, co robi on, bo przecie jest taki wielki. Jeżeli wyskoczy, będę mógł go zabić. Ale on za nic nie chce się stamtąd ruszyć. Więc i ja się od niego nie ruszę”.

Potał zdrętwiałą ręką o spodnie i spróbował rozluźnić palce. Dłoń nie chciała się jednak rozewrzeć. „Może otworzy się na słońcu – pomyślał. – Może otworzy się, kiedy strawię tego silnego, surowego tuńczyka. Jeżeli będzie trzeba, otworzę ją, choćby mnie to nie wiedzieć ile kosztowało. Ale nie chcę jej teraz otwierać siłą. Niech się otworzy sama, niech przyjdzie do siebie z własnej woli. Bądź co bądź, mocno jej nadużyłem w nocy, kiedy trzeba było uwolnić i złączyć te różne linki”.

Popatrzał na morze i pojął, jak bardzo jest teraz samotny. Ale w ciemnej głębinie widział pryzmaty i naciągniętą linkę, i dziwne falowania gładkiej wody. Obłoki piętrzyły się w oczekiwaniu pasatu; spojrzął przed siebie i dostrzegł stado dzikich kaczek, które zarysowało się nad wodą na tle nieba, potem się zgubiło i ukazało znowu – i wiedział już, że nikt nie jest nigdy samotny na morzu.

Przyszło mu na myśl, jak to niektórzy ludzie lękają się stracić ląd z oczu, gdy płyną małą łódką, i uznał, że mają słuszność w miesiącach nagłej niepogody. Ale teraz były miesiące huraganów, a jeżeli nie ma huraganu, pogoda w tych miesiącach bywa najlepsza w całym roku.

„Kiedy idzie huragan, zawsze na wiele dni przedtem widzi się na niebie jego oznaki, jeżeli się jest na morzu. Z lądu tego nie dostrzegają, bo nie wiedzą, czego trzeba wypatrywać – pomyślał. – Poza tym ląd musi też zmieniać kształt obłoków. Ale teraz nie zbliża się huragan”.

Spojrzął na niebo i zobaczył białe kumulusy spiętrzone jak dobrotliwe masy kremu; daleko nad nimi na tle wysokiego wrześnieowego nieba widział cienkie pasma obłoków pierzastych.

– Lekka bryza – powiedział. – Lepsza pogoda dla mnie niż dla ciebie, rybo.

W lewej ręce nadal czuł kurcz, ale rozwierał ją z wolna.

„Nienawidzę kurczu – pomyślał. – To zdrada ze strony własnego ciała. Upokarzające jest wobec innych dostać biegunki po zatruciu nieświeżym jedzeniem albo też rzygać po tym. Ale kurcz (nazywał go w myśli calambre) szczególnie upokarza człowieka samotnego. Gdyby chłopiec tu był, mógłby mi rękę rozetrzeć i rozluźnić od przedramienia. Ale jakoś sama się rozluźni”.

W tej chwili wyczuł prawą ręką różnicę w napięciu linki, jeszcze nim zauważył, że jej kąt w wodzie się zmienia. A potem, kiedy pochylił się naciągając ją i zaczął silnie, szybko strzepywać lewą ręką o udo, spostrzegł, że linka podnosi się z wolna.

– Wy pływa – powiedział. – No, chodź, rybo. Proszę cię, chodź!

Linka podnosiła się wolno i nieprzerwanie, a potem powierzchnia oceanu wzdęła się przed łodzią i marlin wypłynął. Wynurzał się bez końca, a woda spływała strumieniami z jego boków. Lśnił w słońcu, głowa i grzbiet były ciemnofioletowe, a w świetle widniały pasy na jego ciele, szerokie, jasnoławendowego koloru. Miecz miał długi jak pałka baseballowa, spiczasty jak rapier; wypłynął z wody na całą długość, następnie pogrążył się znowu niby nurek, a stary ujrzał, jak znika ogromna kosa jego ogona, po czym linka zaczęła wylatywać za burtę.

– Jest o dwie stopy dłuższy od łodzi – powiedział stary. Linka sunęła szybko, lecz równo; ryba nie była spłoszona. Stary próbował oburącz przytrzymać linkę, uważając, żeby nie przekroczyć granicy jej wytrzymałości. Wiedział, że jeśli stałym naciskiem nie zmusi ryby do zwolnienia, marlin wybierze mu całą linkę i wreszcie ją urwie.

„Wielka z niego sztuka i muszę go jakoś zmóc – pomyślał. – Nie wolno dać mu poznać jego własnej mocy ani tego, co mógłby zrobić, gdyby się rzucił do ucieczki. Na jego miejscu zebrałbym teraz wszystkie siły i gnał, póki się coś nie urwie. Ale, Bogu dzięki, ryby nie są tak mądre jak ci, co je zabijają, chociaż są szlachetniejsze i zręczniejsze”.

Stary widział już wiele dużych ryb. Widywał sztuki, które ważyły ponad tysiąc funtów, i złowił w swoim życiu dwie takich rozmiarów, ale nie zrobił tego w pojedynkę. Teraz, samotny, daleko od lądu, trzymał na haku największą rybę, jaką kiedykolwiek oglądał, większą od wszystkich, o jakich słyszał, a jego lewa ręka była nadal skurczona niczym zaciśnięte szpony orła.

„Przecież się jednak rozkurczy – myślał. – Z pewnością się rozkurczy, żeby pomóc prawej. Trzy rzeczy są siostrami: ryba i moje dwie ręce. Musi się rozkurczyć. To jej niegodne, żeby była drętwa”.

Marlin zwolnił znowu i płynął swoim zwykłym tempem.

„Ciekawe, dlaczego wyskoczył – pomyślał stary. – Zupełnie jakby chciał mi pokazać, jaki jest wielki. Teraz już wiem w każdym razie. Chciałbym, żeby zobaczył, co ze mnie za człowiek. Ale znów wtedy zauważyłby, że mam kurcz w ręce. Niech myśli, że jestem sprawniejszy, niż jestem, to będę taki. Chciałbym być na jego miejscu i mieć to wszystko, co on ma przeciwko tylko mojej woli i rozumowi”.

Oparł się wygodnie o deski i przyjmował swoje cierpienie w miarę, jak przychodziło; ryba płynęła równo, a łódka posuwała się wolno po ciemnej wodzie. Nadlatujący ze wschodu wiatr wzdął lekko morze, a w południe kurcz puścił lewą rękę starego.

– Złe mam nowiny dla ciebie, rybo – powiedział stary i przeniósł linkę na worek, który okrywał mu ramiona.

Było mu wygodnie, ale cierpiał, choć nie przyznawał się do cierpienia.

– Nie jestem religijny – powiedział – ale odmówię dziesięć Ojciec nasz i dziesięć Zdrowaś Mario, żeby złapać tę rybę, i przyrzekam odprawić pielgrzymkę do Najświętszej Panny z Cobre, jeżeli mi się uda. To obiecane.

Zaczął mechanicznie odmawiać modlitwy. Chwilami ogarniało go takie znużenie, że nie mógł sobie przypomnieć słów, i wtedy mówił je prędko, ażeby wyszły automatycznie. „Zdrowaśki łatwiejsze są do odmawiania niż ojciec nasz” – pomyślał.

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą. Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen. – A potem dodał: – Najświętsza Panienko, pomódl się o śmierć tej ryby. Choć taka jest wspaniała.

Zmówiwszy modlitwy, poczuł się znacznie lepiej, chociaż cierpiał dokładnie tak samo, a może nawet trochę więcej niż przedtem; oparł się o deski dziobu i zaczął mechanicznie przebierać palcami lewej ręki.

Słońce było gorące, chociaż bryza wzmagała się lekko.

– Lepiej założyć z powrotem przynętę na tę małą linkę na rufie – powiedział. – Jeżeli ryba postanowi przetrzymać następną noc, będę musiał znowu coś zjeść, a wody jest mało w butelce. Nie myślę,

żebym mógł tutaj złapać cokolwiek prócz delfina. Ale jeżeli go zjem na świeżo, nie będzie taki zły. Chciałbym, żeby mi się dzisiaj wieczorem trafiła latająca ryba. Tylko że nie ma światła, aby ją zwabić. Latająca ryba jest doskonała na surowo i nie trzeba by jej rozcinać. Muszę teraz oszczędzać wszystkie siły. Chryste Panie, nie miałem pojęcia, że on jest taki wielki.

– A przecież go zabiję – powiedział. – W całej jego wielkości i chwale.

„Chociaż to jest niesprawiedliwe – pomyślał. – Ale pokażę mu, co potrafi człowiek i co człowiek może wytrzymać”.

– Powiedziałem chłopcu, że ze mnie dziwny staruch – rzekł. – Teraz właśnie muszę tego dowieść.

Tysiączne przypadki, w których już tego dowiódł, nie miały żadnego znaczenia. Obecnie dowodził tego ponownie. Za każdym razem zaczynał od nowa i ani przez chwilę nie myślał wtedy o przeszłości.

„Dobrze by było, żeby zasnął i żeby ja mógł usnąć i śnić o lwach – pomyślał. – Dlaczego lwy są najważniejszą rzeczą, jaka mi pozostała? Nie zastanawiaj się, stary – powiedział do siebie. – Oprzyj się teraz lekko o deski i nie myśl o niczym. On się wysila. Ty wysilaj się jak najmniej”.

Zbliżał się wieczór, a łódź wciąż płynęła powoli i równo. Teraz jednakże bryza od wschodu stawiała dodatkowy opór i stary łagodnie kołysał się na niewielkich falach, a ból od ucisku linki, biegnącej mu przez plecy, wydawał się gładki i łatwy.

Raz po południu linka zaczęła podnosić się znowu. Ale ryba płynęła dalej, tyle że na nieco niniejszej głębokości. Słońce padało staremu na lewą rękę i ramię, i na plecy. Wiedział więc, że marlin skręcił na północowschód.

Teraz, kiedy już go zobaczył, mógł sobie wyobrazić, jak płynie, rozpostarłszy fioletowe płetwy piersiowe szeroko niczym skrzydła, i tnie w mroku wodę ogromnym, wyprostowanym ogonem. „Ciekawe, czy on dużo widzi na tej głębokości – pomyślał stary. – Oczy ma wielkie, a koń widzi po ciemku znacznie mniejszymi. Kiedyś widziałem bardzo dobrze w ciemnościach. Nie w całkowitych ciemnościach. Ale prawie tak jak kot”.

Słońce i ciągle przebieranie palcami sprawiło, że ręka rozkurczyła mu się teraz zupełnie; więc zaczął przenosić na nią coraz to więcej napięcia i poruszył mięśniami grzbietu, żeby nieco przesunąć cisnącą go boleśnie linkę.

– Jeżeliś się nie zmęczyła, rybo – powiedział na głos – to musisz być bardzo dziwna.

Czuł się już ogromnie znużony, wiedział, że niedługo przyjdzie noc, i usiłował myśleć o czym innym. Myślał o wielkich rozgrywkach ligowych – dla niego były to „Grand Ligas” – i o tym, że „Jankesi” z Nowego Jorku grają z „Tygrysami” z Detroit.

„Już drugi dzień nie mam wiadomości o wynikach juegos – pomyślał. – Ale muszę ufać i być godnym wielkiego Di Maggio, który wszystko robi doskonale, chociaż ma bóle pięty od ostrogi kostnej. Co to jest taka ostroga? – zapytał sam siebie.

– Un espuela de bueso. My tego nie miewamy. Czy to może być tak bolesne jak ukłucie w piętę ostrogą, którą zakłada się kogutom do walki? Nie myślę, żebym potrafił wytrzymać to albo utratę oka czy obu i dalej bić się, jak to robią walczące koguty. Człowiek niewiele może w porównaniu do wielkich ptaków i zwierząt. A jednak wolałbym być tą rybą tam, w ciemnościach oceanu”.

– Jeżeli nie zjawią się rekiny – powiedział na głos. – Jak przyjdą rekiny, wtedy niech Bóg się zmiłuje nad nią i nade mną.

„Sądziś, że wielki Di Maggio pozostałby przy rybie tak długo, jak ja zostanę przy tej? – pomyślał. – Z pewnością tak, a nawet dłużej, bo jest młody i silny. Poza tym jego ojciec był rybakiem. Ale czy ta ostroga nie bolałaby go zanadto?”

– Nie wiem – powiedział. – Nigdy nie miałem takiej ostrogi.

Kiedy słońce zaszło, wspominał, chcąc dodać sobie ducha, jak to niegdyś w szynku w Casablance próbował się na rękę z wielkim Murzynem z Cienfuegos, który był najsilniejszym człowiekiem w porcie. Cały dzień i noc trwali, oparli się łokcie na linii wykreślonej kredą na stole, z przedramionami sterczącymi w górę i twardo splecionymi dłońmi. Jeden i drugi usiłował przegiąć rękę przeciwnika do stołu. Robiono liczne zakłady, ludzie wchodzili i wychodzili z izby oświetlonej lampami naftowymi, a on patrzył na ramię i rękę Murzyna, i na jego twarz. Po pierwszych ośmiu godzinach zmieniano

sędziów co cztery następne, ażeby mogli się przespać. Spod paznokci jego i Murzyna sączyła się krew, obaj patrzyli sobie w oczy, na ręce i przedramiona, a widzowie wchodzili i wychodzili, siadali na wysokich krzesłach pod ścianą i przyglądali się. Ściany były drewniane, pomalowane na jaskrawoniebieski kolor, a lampy rzucały na nie cienie ich dwóch. Cień Murzyna był olbrzymi i drgał na ścianie, gdy powiew poruszał płomyki lamp.

Przez całą noc zmieniały się zakłady; Murzyna pokrzepiano rumem i zapalano mu papierosy. Murzyn łyknąwszy rumu, zbierał się na potężny wysiłek i raz przegiął o prawie trzy cale rękę starego, który wtedy nie był starym, ale Santiago El Campeon. Mimo to stary znów zdołał podnieść rękę do równego pionu. Miał już wtedy pewność, że pobił Murzyna, który był wspaniałym chłopem i nie byle atletą. I o świcie, kiedy widzowie robiący zakłady domagali się, żeby ogłosić nierozegraną, a sędzia potrząsał głową, stary zebrał wszystkie siły i przegiął rękę Murzyna w dół, póki nie spoczęła na stole. Próba zaczęła się w niedzielę rano, a skończyła w poniedziałek o tej samej porze. Wielu z zakładających się prosiło o ogłoszenie nierozegranej, ponieważ musieli iść do doków, aby ładować worki z cukrem; albo do pracy w Hawańskiej Kompanii Węglowej. Gdyby nie to, każdy by chciał, żeby spotkanie doprowadzono do końca. Ale stary i tak je zakończył, i to zanim ktokolwiek musiał odejść do roboty.

Przez długi czas potem wszyscy nazywali go Czempionem, a wiosną nastąpiło spotkanie rewanżowe. Zakłady były jednak niewysokie, on zaś wygrał z zupełną łatwością, bo w pierwszej próbie złamał pewność siebie Murzyna z Cienfuegos. Potem miał jeszcze kilka spotkań, a później nie było już ich więcej. Doszedł do wniosku, że może pokonać każdego, jeżeli dostatecznie się uprze, i uznał, że szkodzi to jego prawej ręce przy połowach. Kilkakrotnie przeprowadził ćwiczebne próby lewą. Ale lewa ręka była zawsze zdraczą, nie chciała robić tego, czego od niej żądał, więc jej nie ufał.

„Teraz słońce dobrze ją wypiecze – pomyślał. – Nie powinna już mi się kurczyć, chyba że nocą zanadto zziębnie. Ciekaw jestem, co też ta noc przyniesie”.

W górze przeleciał samolot zdążający do Miami i stary obserwował, jak jego cień płoszy ławice latających ryb.

– Jeżeli tu jest tyle tych ryb, powinny być i delfiny – powiedział i odchyliwszy się w tył, pociągnął linkę, żeby się przekonać, czy można jej wybrać choć trochę. Nie zdołał jednak tego zrobić, a linka, drżąc i pryskając kropelkami wody, zatrzymała się w punkcie naprężenia, który poprzedzał pęknięcie. Łódź z wolna płynęła dalej, a stary śledził samolot, póki nie zniknął mu z oczu.

„Musi być bardzo dziwnie w samolocie – pomyślał. – Ciekawe, jak wygląda morze z takiej wysokości? Powinni dobrze widzieć ryby, jeżeli nie lecą za wysoko. Chciałbym lecieć bardzo wolno dwieście sążni nad wodą i oglądać ryby z góry. Na kutrach żółwiowych włąziłem na salinę maszt i nawet z takiej wysokości wiele widziałem. Delfiny wydają się stamtąd bardziej zielone i można dojrzeć ich pasy i fioletowe cętki, i całą ławicę, jak płyną. Dlaczego wszystkie szybkie ryby z ciemnego nurtu mają fioletowe grzbiety, a zwykle i fioletowe pasy albo cętki? Naturalnie, delfin wydaje się zielony, bo w rzeczywistości jest złoty. Ale kiedy wypływa na żer i jest naprawdę głodny, występują mu na bokach fioletowe pasy, takie jak u marlina. Czyżby to gniew je wywoływał, czy może zwiększona szybkość?”

Tuż przed zapadnięciem zmroku, kiedy mijali ogromną wyspę wodorostów sargassowych, która wzdymała się i kołysała na lekkich falach, jak gdyby ocean kochał się z czymś pod żółtą kołdrą, małą linkę pochwycił delfin. Stary zobaczył go, kiedy delfin wyskoczył w górę, szczerozłoty w ostatnich promieniach słońca, wyginający się i dziko roztrzepotany w powietrzu. Wyskakiwał ciągle od nowa, powtarzając swoje oszalałe łamańce, a stary przedostał się na rufę, kucnął i przytrzymał duży linkę prawą ręką i dłonią, lewą zaczął ciągnąć delfina, za każdym razem nadeptując wybrany kawałek linki bosą lewą stopą. Kiedy ryba znalazła się przy rufie, nurkując i miotając się rozpaczliwie z boku na bok, stary wychylił się i wciągnął ją przez burtę, złocistą i połyskliwą, znaczoną fioletowymi cętkami. Szczęki jej zwierły się na haku konwulsyjnymi szybkimi kłapięciami, łomotała o dno łodzi swym długim, płaskim ciałem, łbem i ogonem, póki nie uderzył jej pałką po tej lśniącej, złocistej głowie, a wtedy zadrżała i legła bez ruchu.



Stary zdjął ją z haka, założył nową sardynkę i rzucił przynętę za burtę. Potem powoli wrócił na dziób. Obmył lewą rękę i wytarł ją o spodnie. Następnie przełożył ciężką linkę z prawej ręki do lewej i opłukał prawą dłoń obserwując pograżanie się słońca w morzu oraz kąt nachylenia dużej linki.

– Nic się u niego nie zmienia – powiedział. Ale śledząc ruch wody przepływającej po dłoni, zauważył, że jest wyraźnie wolniejszy.

– Przywiążę oba wiosła w poprzek rufy, bo to go w nocy zmusi do zwolnienia – powiedział. – Jest gotów przetrzymać noc, ale i ja także.

„Lepiej byłoby wypatroszyć tego delfina trochę później, żeby zatrzymać krew w mięsie – pomyślał. – Mogę to zrobić potem, a jednocześnie przywiązać wiosła, żeby wytworzyć opór. Powinienem teraz zostawić marlina w spokoju i nie przeszkadzać mu znowu o zachodzie. Zachód słońca to trudna pora dla wszystkich ryb”.

Osuszył rękę w powietrzu, po czym chwycił nią linkę, odprężył się, jak mógł, i pozwolił pociągnąć się w przód do samych desek dziobu, tak że łódź przejęła teraz napięcie w równej lub nawet większej mierze niż on.

„Uczę się, jak to robić – pomyślał. – W każdym razie tę część roboty. Poza tym trzeba pamiętać, że marlin nic nie jadł, odkąd wziął przynętę, a jest ogromny i trzeba mu dużo żarcia. Ja zjadłem całego bonito. Jutro zjem delfina. (Nazywał go dorado). Może powinienem zjeść trochę, kiedy go oczyszczę. Trudniej go będzie jeść niż bonito. No, ale nic nie jest łatwe”.

– Jak się tam czujesz, rybo? – zapytał głośno. – Bo ja dobrze, a z moją lewą ręką jest już lepiej i mam pożywienie na noc i na dzień. Ciągnij łódź, rybo.

Prawdę mówiąc, nie czuł się dobrze, gdyż ból od linki, uciskającej mu plecy, nieomal przekroczył już bolesność i przeszedł w tępe uczucie, które wydawało się staremu podejrzanym. „Ale miewałem już gorsze rzeczy – pomyślał. – Rękę mam tylko trochę skaleczoną, a drugą puścił kurcz. Nogi są w porządku. Prócz tego jestem nad nim górą, jeżeli idzie o odżywienie”.

Było teraz ciemno, bo we wrześnie zmrok szybko zapada po zachodzie słońca. Stary leżał oparty o stare deski dziobu i

odpoczywał, jak mógł. Ukazały się pierwsze gwiazdy. Nie znał nazwy „Rigel”, ale dojrzał tę gwiazdę i wiedział, że niedługo pojawią się wszystkie i że będzie miał przy sobie swoich dalekich przyjaciół.

– Marlin jest także moim przyjacielem – powiedział na głos. – Jeszcze nie widział ani nie słyszał o takiej rybie. Mimo to muszę go zabić. Cieszę się, że nie musimy próbować zabijać gwiazd.

„Co by to było, gdyby człowiek musiał co dzień próbować zabić księżyc? Księżyc ucieka. A gdyby tak co dzień trzeba było zabijać słońce? W czepku się rodziliśmy” – pomyślał.

A potem żał mu się zrobiło tej wielkiej ryby, która nie miała się czym pożywić, ale jego postanowienie, że musi ją zabić, nie osłabło ani na chwilę wpośród owego żalu. „Iluż ludzi ona nakarmi! – myślał. – Tylko czy oni są warci tego, żeby ją jeść? Nie, oczywiście, że nie. Sądząc po jej postępowaniu i wielkiej godności, nikt nie jest tego wart”.

„Nie rozumiem się na tych rzeczach – myślał. – Ale dobrze, że nie musimy zabijać słońca, księżyca czy gwiazd. Wystarczy, że żyjemy na morzu i zabijamy naszych prawdziwych braci. Teraz muszę pomyśleć o tym hamowaniu wiosłami. Ma to swoje wady i zalety. Mogę stracić tyle linki, że utracę i jego, jeżeli zbierze się na wysiłek, a opór wiosła nie ustąpi i łódź postrada całą swoją lekkość. Ta lekkość wprawdzie przedłuży nasze wspólne cierpienie, ale jest także moim bezpieczeństwem, bo on ma wielką szybkość, której jeszcze dotąd nie wykorzystał. Co będzie, to będzie, ale muszę wypatroszyć delfina, żeby się nie zepsuł, i zjeść trochę, aby nabrać sił. Odpocznę teraz jeszcze z godzinkę i dopiero, jak poczuję, że płynię równo i spokojnie, przyjdę na rufę, żeby zabrać się do roboty i coś postanowić. Tymczasem będę mógł zobaczyć, co robi i czy widać w nim jakieś zmiany. Z tymi wiosłami to dobra sztuczka, ale już przyszła pora grać na pewniaka. Bądź co bądź, to wciąż jeszcze tęga ryba; widziałem, że hak ma w kącie pyska, a szczęki trzyma zaciśnięte. Męka haka to jeszcze nic. Męka głodu i to, że boryka się z czymś, czego nie rozumie – to jest wszystko. Odpocznij teraz, stary, i pozwól mu pracować, póki nie przyjdzie twoje następne zadanie”.

Odpooczywał, jak mu się wydawało, że dwie godziny. Księżyc wschodził teraz późno, nie miał więc sposobu określenia pory. W gruncie rzeczy odpooczywał tylko względnie. Wciąż trzymał na ramionach ciężar ciągnącej ryby, tyle że uchwycił lewą ręką krawędź dzioba i przenosił na samą łódź coraz więcej i więcej oporu, który stawiał marlinowi.

„Jakież by to było proste, gdybym mógł zamocować linkę! – myślał. – Ale on mógłby ją zerwać jednym niewielkim szarpnięciem. Muszę własnym ciałem łagodzić naprężenie linki i każdej chwili być gotów oddać mu ją obiema rękami”.

– Aleś ty jeszcze nie spał, stary – powiedział. – Minęło już pół dnia, noc, a teraz następny dzień, jak nie zmrużyłeś oka. Musisz obmyślić jakiś sposób, żeby trochę się zdrzemnąć, o ile on będzie płynął spokojnie i równo. Jeżeli się nie prześpisz, może ci się zmącić w głowie.

„W głowie mam dostatecznie jasno – pomyślał. – Aż za jasno. Taka jest jasna jak te gwiazdy, które są moimi siostrami. Mimo to muszę się przespać. Bo one śpią, śpią księżyc i słońce, i nawet ocean czasem drzemie w pewne dni, kiedy nie ma prądu i jest gładka cisza morską”.

„Pamiętaj, żeby się przespać – myślał. – Zmusz się do tego i wykombinuj jakiś prosty a pewny sposób na linki. Teraz idź i przygotuj delfina. To za duże ryzyko uwiązywać wiosła dla oporu, jeżeli musisz iść spać”.

„Mógłbym dać radę bez spania – powiedział do siebie – ale to byłoby zanadto niebezpieczne”.

Popęłznął na czworakach ku rufie, uważając, żeby nie szarpnąć ryby. „Może on sam też na wpół drzemie – pomyślał. – Ale ja nie chcę, żeby odpooczywał. Musi ciągnąć, póki nie zdechnie”.

Na rufie obrócił się tak, że lewa ręka przytrzymała na barkach napiętą linkę, prawą zaś dobył z pochewki nóż. Gwiazdy świeciły teraz jasno, delfina widział wyraźnie, więc wbił mu w głowę ostrze i wywlókł spod rufy. Przycisnął go stopą i rozciął szybko od odbytnicy aż po sam koniec dolnej szczęki. Następnie odłożył nóż wypatroszył rybę prawą ręką, wybierając wnętrzności do czysta i odrywając skrzela. Poczł w dłoni ciężki, śliski żołądek i rozciął go. Wewnątrz

znajdowały się dwie latające ryby. Były świeże i jędrne, więc je położył jedną obok drugiej, a skrzela i wnętrzności wyrzucił za rufę. Opadły w dół, pozostawiając w wodzie fosforyzujący szlak.

Delfin był zimny, a w świetle gwiazd miał jakąś trędowną szarobiałą barwę; stary, przycisnąwszy łeb prawą stopą, odarł ze skóry jeden bok ryby. Potem obrócił ją, ściągnął skórę z drugiego boku i odkrajał z obu stron mięso od głowy aż do ogona.

Spuścił szkielet za burtę i wyrżał, by się przekonać, czy w wodzie nie ma wiru. Ale dostrzegł tylko świetlistość wolno opadającego szkieletu. Obrócił się więc, włożył latające ryby między dwa odkrajane kawałki delfina, schował nóż do pochwy i z wolna począł przesuwając się na dziób. Grzbiet miał przygięty pod ciężarem linki, a ryby niósł w prawej ręce.

Wróciwszy na dziób rozłożył na deskach oba kawałki delfina, a przy nich latające ryby. Następnie ulokował linkę w nowym miejscu ramienia i przytrzymał ją znów lewą ręką, oparłszy się o burtę. Potem wychylił się i oplukał latającą rybę, notując sobie w pamięci szybkość wody przepływającej po dłoni. Dłoń fosforyzowała po oprawieniu delfina; obserwował przepływającą po niej wodę. Prąd był słabszy, a kiedy stary potarł o deski łodzi bokiem ręki, oderwały się od niej cząsteczki fosforu i spłynęły powoli za rufę.

– Zaczyna się męczyć albo odpoczywa – powiedział. – Teraz trzeba się wziąć do zjedzenia tego delfina, wypocząć trochę i przespać się odrobinę.

Przy świetle gwiazd, wśród nocy, która robiła się coraz chłodniejsza, zjadł pół kawałka delfina i jedną latającą rybę, uprzednio wypatroszywszy ją i odciąwszy głowę.

– Jaki doskonały jest delfin gotowany – powiedział. – A jaki obrzydliwy na surowo. Więcej już nie popłynę bez soli albo cytryn.

„Gdybym miał rozum, byłbym przez cały dzień rozpryskiwał wodę na dziobie, to po wyschnięciu zostałyby sól – pomyślał.

– Tylko że tego delfina złowiłem dopiero pod zachód. A jednak to był brak przygotowania. Ale dobrze wszystko przeżyłem i jakoś mnie nie zemdleło”.

Niebo chmurzyło się na wschodzie i gwiazdy, które znał, znikły jedna po drugiej. Wydawało mu się teraz, że wpływa jakby w

olbrzymi kanion chmur, a wiatr ustał zupełnie.

– Za trzy, albo cztery dni przyjdzie niepogoda – powiedział stary. – Ale nie dzisiaj ani jutro. Gotuj się teraz do snu, póki ryba płynie spokojnie i równo.

Przytrzymał mocno linkę prawą ręką, którą następnie przycisnął udem, jednocześnie opierając się całym ciężarem o deski dziobu. Potem umieścił linkę nieco niżej na ramieniu i chwycił ją silnie lewą dłonią.

„Moja prawa może ją trzymać, póki jest przyciśnięta – pomyślał. – Jeżeli puści przez sen, zbudzi mnie lewa, jak linka zacznie wylatywać. Ciężkie to dla prawej ręki. Ale przyzwyczajona jest do cierpienia. Nawet jeżeli pośpię dwadzieścia minut czy pół godziny, dobre będzie i to”. Pochylił się do przodu i położył przywierając całym sobą do linki, przycisnął prawą rękę ciężarem własnego ciała i zaraz usnął.

Nie śniły mu się lwy, ale ogromna ławica delfinów, rozciągająca się na osiem czy dziesięć mil. Był to czas godów i delfiny wyskakiwały wysoko w powietrze, spadając w ten sam lej, który trwał jeszcze w wodzie po ich skoku.

Potem przyśniło mu się, że jest w wiosce i leży na łóżku, że wieje północny wiatr, i było mu bardzo zimno, i prawą rękę miał drętwą, bo trzymał głowę na niej zamiast na poduszce.

Później zaczął śnić o długiej, żółtej plaży i ujrzał pierwsze lwy schodzące na nią o wczesnym zmierzchu, a po nich nadeszły inne, on zaś wsparł brodę na krawędzi dziobu statku, stojącego na kotwicy pośród wieczornej bryzy wiejącej od lądu, i czekał, czy nie przyjdzie jeszcze więcej lwów, i był szczęśliwy.

Księżyc już wzeszedł od dawna, ale on spał dalej, ryba ciągnęła nieprzerwanie, a łódź wpłynęła w tunel obłoków.

Zbudziło go szarpnięcie prawej pięści, która uderzyła go w twarz, i palenie w dłoni, przez którą sunęła linka. W lewej ręce nie miał czucia, lecz prawą przytrzymał z całej mocy linkę, ta jednak wylatywała dalej. Wreszcie lewa odnalazła ją, wtedy stary odchylił się, a linka parzyła mu teraz plecy i rozrzynała okropnie lewą dłoń, która przejęła całe naprężenie. Obejrzał się na zwoje i stwierdził, że odwijają się gładko. Właśnie w tej chwili marlin wyskoczył,

rozbryzgując potężnie morze, po czym runął w nie ciężko. Następnie skoczył znowu i znowu, a łódź płynęła szybko, choć linka wciąż wylatywała, stary zaś zwiększał napięcie aż do punktu zerwania, i znów do punktu zerwania, i robił to wciąż od nowa. Leżał wciśnięty w dziób łodzi, twarzą w pokrajanych kawałkach delfina, i nie mógł się poruszyć.

„Na to właśnie czekaliśmy – pomyślał. – Więc teraz trzeba to znieść”.

„Musi zapłacić za tę linkę – myślał. – Musi zapłacić”.

Nie mógł widzieć skoków marlina, słyszał jedynie rozwieranie się wód oceanu i ciężkie chluśnięcia, gdy ryba spadała. Szybko sunąca linka haratała mu strasznie ręce, ale od początku wiedział, że to nastąpi, więc próbował trzymać ją stwardniałą częścią dłoni i nie pozwolić, by osunęła się głębiej albo przecięła palce.

„Gdyby chłopiec tu był, zmoczyłby zwoje – pomyślał. – Gdyby chłopiec tu był. Gdyby tu był”.

Linka wylatywała wciąż, wciąż i wciąż, ale już teraz zwalniała, a marlin musiał zdobywać każdy jej cal. Stary oderwał głowę od desek i kawałków ryby, które rozgniół policzkiem. Następnie podniósł się na kolana, a potem powoli wstał. Oddawał linkę, ale robił to coraz wolniej. Przesunął się w tył, do miejsca, gdzie mógł wymacać stopą zwoje, których nie widział. Linki było jeszcze dość, a marlin musiał obecnie przezwyciężyć tarcie całej tej nowej jej części o wodę.

„Tak – myślał stary. – Wyskoczył już z górą tuzin razy, napętnił sobie powietrzem pęcherze na grzbiecie i nie może zanurzyć się głęboko, żeby zdychać tam, skąd nie zdołałbym go wydostać. Niedługo zacznie krążyć, a wtedy muszę się wziąć do niego. Ciekawe, co go tak nagle ruszyło. Czy to głód doprowadził go do rozpacz, czy też przeląkł się czegoś w nocy? Może raptem ogarnął go strach. Ale przecież był taki spokojny, silny, wydawał się taki nieustraszony i ufny. Dziwne”.

– Lepiej sam bądź nieustraszony i ufny, mój stary – powiedział. – Trzymasz go znowu, ale nie możesz już wybrać linki. Tylko że on niedługo musi zacząć kołować.

Przytrzymując rybę lewą ręką i ramionami, pochylił się i zaczerpnął wody w prawą dłoń, aby zmyć z twarzy rozgniecione

mięso delfina. Obawiał się, że może go zemdlić, a wtedy zwymiotuje i straci siły. Obmywszy twarz, wysunął przez burtę prawą rękę, opłukał ją i przytrzymał w słonej wodzie, śledząc pierwszą zorzę pojawiającą się przed wschodem słońca. „Idzie prawie prosto na wschód – pomyślał. – To znaczy, że jest zmęczony i płynie z prądem. Niedługo będzie musiał zataczać koła. Wtedy zacnie się dla nas prawdziwa robota”.

Osądziwszy, że prawa ręka pozostała już dość długo w wodzie, i obejrzał.

– Nie jest tak źle – powiedział. – A ból to głupstwo dla mężczyzny.

Ujął linkę ostrożnie, tak żeby nie trafiła w świeże skaleczenia, i przesunął ciężar ciała w ten sposób, by móc zanurzyć lewą rękę po drugiej stronie łodzi.

– Nie najgorzej się sprawiłaś jak na coś tak marnego – powiedział do swojej lewej ręki. – Ale była chwila, kiedy nie mogłem cię znaleźć.

„Dlaczego nie urodziłem się z dwiema dobrymi rękami? – pomyślał. – A może to moja wina, że nie ćwiczyłem tej jak należy. Ale Bóg świadkiem, że miała dosyć okazji do nauki. Mimo wszystko nieźle dawała sobie radę w nocy, a kurcz ją chwycił tylko raz. Jeżeli to się powtórzy, niech mi ją linka odetnie”.

Kiedy to pomyślał, zrozumiał, że mąci mu się w głowie, i uznał, że powinien zżuć jeszcze trochę delfina. „Ale nie mogę – powiedział do siebie. – Lepiej mieć pustkę w głowie niż stracić siły przez mdłości. A wiem, że odkąd tkwiłem w tym twarzą, nie zatrzymam tego w sobie po jedzeniu. Zachowam mięso na wszelki wypadek, póki się nie zepsuje. Teraz już za późno zdobywać siły jedzeniem. Głupi jesteś – powiedział do siebie. – Zjedz drugą latającą rybę”.

Leżała gotowa, oczyszczona, więc podniósł ją lewą ręką i zjadł całą rybę aż do ogona, starannie przeżuając ości.

„Chyba jest pożywniejsza od wszystkich ryb – pomyślał. – Przynajmniej jest w niej ten rodzaj siły, którego mi potrzeba. Teraz zrobiłem, co mogłem. Niechże on zaczyna krążyć i niech już przyjdzie walka”.

Słońce wschodziło po raz trzeci, odkąd stary wyruszył na morze, gdy ryba poczęła zataczać kręgi.

Po skosie linki nie mógł jeszcze poznać, że marlin kołuje. Na to było za wcześnie. Poczuł tylko lekkie zluźnienie napięcia i zaczął delikatnie ciągnąć linkę prawą ręką. Naprężyła się jak zwykle, ale właśnie kiedy była bliska punktu zerwania, zaczęła się poddawać. Wysunął głowę i barki spod linki i zaczął ją przyciągać równo i delikatnie. Rozkołysanym ruchem wybierał ją oburącz, usiłując, ile tylko mógł, pomagać sobie ciałem i nogami. Stare nogi i ramiona poruszały się wahadłowo, w miarę jak ciągnął.

– To bardzo duże koło – powiedział. – Ale przecież kołuje. Potem nie sposób już było wybrać więcej linki, więc ją przytrzymał, póki nie dojrzał w słońcu pryskających z niej kropelek. Wtedy zaczęła wylatywać z powrotem, a stary ukląkł i niechętnie pozwolił jej znowu sunąć w ciemną wodę.

– W tej chwili robi najdalszą część koła – powiedział. „Trzeba go trzymać ze wszystkich sił – pomyślał. – Napięcie będzie za każdym razem zmniejszało jego krąg. Może za jakąś godzinę go zobaczę. Teraz muszę go zmęczyć, a potem muszę go zabić”.

Ale ryba wciąż z wolna krążyła, a w dwie godziny później stary był cały mokry od potu i wyczerpany do szpiku kości. Jednakże teraz koła były już znacznie mniejsze, a sądząc po skosie linki marlin wciąż podnosił się coraz wyżej.

Staremu od godziny pokazywały się przed oczami czarne plamki, a słone strugi potu zalewały mu oczy, skaleczenie nad powieką i na czole. Nie lękał się czarnych plamek. Były one rzeczą normalną przy tym natężeniu, z jakim ciągnął za linkę. Jednak dwukrotnie zrobiło mu się słabo, uczuł zawrót głowy i to go martwiło.

– Nie mogę sprawić sobie zawodu i skonać przy takiej rybie – powiedział. – Boże, dopomóż wytrwać teraz, kiedy mi tak pięknie wypływa. Odmówię sto Ojcze nasz i sto Zdrowaś Mario. Ale nie mogę zmówić ich zaraz.

„Uważaj je za zmówione – pomyślał. – Odmówię je później”.

Właśnie w tej chwili wyczuł nagłe targnięcie i szarpanie za linkę, którą trzymał obiema rękami. Było ono ostre, twarde i ciężkie.

„Uderza swoim mieczem o drucianą przyponę – pomyślał. – To było nieuniknione. Musiał to zrobić. Przez to może jednak wyskoczyć, a ja bym wolał, żeby jeszcze krążył. Skoki były mu



potrzebne do nabrania powietrza. Ale potem każdy następny poszerzy otwór rany od haka i marlin może go wyrzucić”.

– Nie skacz, rybo – powiedział. – Nie skacz.

Marlin jeszcze kilka razy uderzył o przyponę, a za każdym potrząśnięciem jego łba stary oddawał nieco linki.

„Muszę utrzymać jego ból w tym samym miejscu – pomyślał.

– Mój jest nieważny. Mój mogę opanować. Ale jego ból może go doprowadzić do obłądu”.

Po pewnej chwili marlin przestał uderzać o drut i zaczął znów krążyć powoli. Stary nieprzerwanie wyciągał linkę. Ale znowu zrobiło mu się słabo. Zaczepnął lewą ręką trochę morskiej wody i zmoczył nią sobie głowę. Następnie nabrał jeszcze więcej i roztarł kark.

– Nie mam kurczów – powiedział. – On się niedługo pokaże, a ja potrafię wytrzymać. Musisz wytrzymać. Nawet nie ma o czym gadać.

Ukląkł przy dziobie i znowu na chwilę założył sobie linkę na barki. „Odpocznę teraz, póki robi koło, a potem wstanę i wezmę się do niego, kiedy podpłynie” – postanowił.

Miał wielką pokusę odpocząć na dziobie, pozwolić, by marlin sam zatoczył jedno koło, i nie odbierać mu wcale linki. Gdy jednak stopień jej naprężenia wskazał, że ryba zawróciła ku łodzi, wstał i począł przyciągać ją kołyszącym, wahadłowym ruchem, którym ponownie wybrał całą luźną linkę.

„Nigdy w życiu nie byłem tak zmęczony – pomyślał. – Teraz zrywa się pasat. Ale to mi pomoże go poholować. Strasznie mi tego potrzeba”.

– Odpocznę, jak będzie robił następny krąg – powiedział.

– Czuję się dużo lepiej. A potem jeszcze dwa, trzy koła i będę go miał.

Słomiany kapelusz osunął mu się daleko na tył głowy. Stary, pociągnięty linką, opadł na dziób czując, że ryba zawraca. „Pracuj teraz, rybo – pomyślał. – Wezmę cię na zakręcie”.

Morze rozkołysało się znacznie. Była to jednak pogodna bryza potrzebna staremu, aby mógł wrócić do domu.

– Posteruję na południowy zachód – powiedział. – Człowiek nigdy nie zgubi się na morzu, a wyspa jest długa.

Za trzecim okrążeniem ujrzał nareszcie marlina. Zobaczył go zrazu jako ciemny cień, który tak długo przepływał pod łodzią, że trudno było uwierzyć w jego rozmiar.

– Nie – powiedział stary. – Nie może być taki wielki. Ale marlin był taki wielki i zatoczywszy koło, wynurzył się na powierzchnię zaledwie o trzydzieści jardów, a stary zobaczył jego ogon sterczący z morza. Był dłuższy od ostrza dużej kosy, bladolawendowy nad ciemnobłękitną wodą. Zagarniał ją i kiedy ryba przepływała tuż pod powierzchnią, stary mógł dojrzeć jej olbrzymie cielsko i opasujące je fioletowe pręgi. Płetwa grzbietowa zwisała w dół, a ogromne płetwy piersiowe rozpostarte były szeroko.

Podczas tego okrążenia stary zobaczył oko ryby i dwie szare remory ssące, które płynęły w pobliżu. Niekiedy do niej przywierały; to znów odskakiwały nagle. Czasem płynęły swobodnie w jej cieniu. Każda miała ponad trzy stopy długości, a płynąc szybko, wiły się całym ciałem jak węgorze.

Stary pocił się teraz, lecz już nie tylko od słońca. Za każdym spokojnym niespiesznym okrążeniem, jakie robiła ryba, wybierał kawał linki i pewien był, że jeszcze dwa kręgi, a zdoła uderzyć harpunem.

„Ale muszę go ściągnąć blisko, blisko, blisko – myślał. – Nie wolno mi mierzyć w głowę. Muszę go trafić w serce”.

– Bądź spokojny i silny, mój stary – powiedział.

Za następnym okrążeniem grzbiet ryby ukazał się nad wodą, ale marlin był trochę za daleko od łodzi. Robiąc następne z kolei, był jeszcze wciąż za daleko, ale bardziej wynurzył się z wody, i stary nie wątpił, że wybrawszy jeszcze trochę linki, zdoła go przyciągnąć do burty.

Od dawna już przygotował harpun; zwój lekkiej liny harpunowej leżał w okrągłym koszyku, a koniec jej uwiązany był do kołka na dziobie.

Ryba zawracała po kole, spokojna i piękna, poruszając jedynie swym wielkim ogonem. Stary przyciągał ją ze wszystkich sił, ażeby mieć ją bliżej. Na chwilę przekręciła się nieco na bok. Potem wyprostowała się znowu i rozpoczęła następny krąg.

– Ruszyłem go – powiedział stary. – Ruszyłem go teraz.

Znowu zrobiło mu się słabo, ale trzymał ogromną rybę ze wszystkich sił. „Poruszyłem go – myślał. – Może tym razem go dostanę. Ciągnijcie, ręce – myślał. – Wytrzymajcie, nogi. Wytrwaj, głowo. Wytrwaj dla mnie. Nigdy mnie nie zawiodłaś. Tym razem go przyciągnę”.

Gdy jednak zebrał się na najwyższy wysięk i zanim jeszcze marlin się zbliżył, zaczął przyciągać go z całej mocy, ten skręcił nieco, potem wyprostował się i odpłynął.

– Rybo – powiedział stary. – Rybo, i tak będziesz musiała umrzeć. Czyż musisz zabić i mnie?

„W ten sposób nic się nie zrobi” – pomyślał. W ustach zanadto mu zaschło, by mówić, ale nie mógł teraz sięgnąć po wodę. „Tym razem muszę go przyciągnąć do burty – myślał.

– Nie wytrzymam już wielu okrążeń.

– I owszem, wytrzymasz – powiedział do siebie. – Wytrzymasz wszystko”.

Za następnym nawrotem już prawie go miał, ale marlin znowu wyprostował się i z wolna odpłynął.

„Zabijasz mnie – pomyślał stary. – Ale masz do tego prawo. Nigdy nie widział nic większego, piękniejszego, bardziej spokojnego i szlachetnego od ciebie, bracie. Przyjdź i zabij mnie. Wszystko mi jedno, kto kogo zabije”.

„Zaczyna ci się mącić w głowie – pomyślał. – A musisz ją mieć jasną. Zachowaj jasność w głowie i umiej cierpieć jak mężczyzna. Albo jak ryba”.

– Rozjaśnij się, głowo – powiedział głosem, który ledwie mógł dosłyszeć. – Rozjaśnij się.

To samo powtórzyło się dwukrotnie przy następnych okrążeniach.

„Już nic nie wiem – myślał stary. Za każdym razem czuł, że lada chwila straci przytomność. – Nie wiem. Ale spróbuję jeszcze raz”.

Spróbował ponownie i poczuł, że mdleje, kiedy zawrócił rybę. Ta wyprostowała się i znów odpłynęła powoli, zamiatając w powietrzu potężnym ogonem.

„Spróbuję jeszcze raz” – obiecał sobie stary, choć ręce miał teraz jak z ciasta, a widział dobrze tylko przebłyskami.

Spróbował znowu i znowu było to samo. „Ach tak – pomyślał i poczuł, że omdlewa. – Więc poprobuję raz jeszcze”.

Zebrał cały swój ból i resztę sił, jakie mu pozostały, i swoją dawno utraconą dumę – i przeciwstawił to męce ryby, a ona przybliżyła się do niego i popłynęła łagodnie obok, prawie dotykając swym mieczem desek łodzi, i zaczęła ją mijać, długa, potężna, szeroka, srebrzysta, pręgowana fioletem, nieskończona tam, w wodzie.

Stary puścił linkę, przycisnął ją stopą, podniósł harpun najwyżej, jak mógł, i wbił go z całej mocy, ze wszystkich sił, jakie jeszcze w tej chwili przywołał, w bok ryby, tuż za wielką płetwą piersiową, która sterczała w powietrzu na wysokości jego własnej piersi. Poczuł, że grot wchodzi, wsparł się na harpunie, i wepchnął go głębiej, a potem wcisnął jeszcze całym swoim ciężarem.

Wtedy marlin ożył, niosąc śmierć w sobie, i wzbił się wysoko nad wodę, ukazując całą swą wielką długość i objętość, całą swą moc i piękno. Zdawało się, że zawisł w powietrzu nad starym rybakim w łodzi. Potem runął z trzaskiem w wodę, obryzgując pianą jego i całą łódź.

Stary uczył, że mu słabo, chwycił go mdłości, w oczach mu się zaćmiło. Mimo to rozwinął linkę harpuna i pozwolił jej sunąć z wolna przez poszarpane ręce, a kiedy odzyskał wzrok, zobaczył rybę leżącą na grzbiecie, srebrzystym brzuchem do góry. Drzewce harpuna sterczało ukośnie z jej boku, a morze barwiło się czerwienią krwi z serca. Zrazu krew była ciemna niby mielizna w błękitnej, ponad milę głębokiej wodzie. Potem rozpostarła się jak obłok. Ryba była srebrna, nieruchoma i unosiła się na falach. Przez ową chwilę, kiedy miał zdolność widzenia, stary patrzył bacznie. Potem dwa razy okręcił linę harpuna wokół kołka na dziobie i złożył głowę na dłoniach.

– Trzeba zachować jasność w głowie – powiedział, opierając się twarzą o deski dziobu. – Jestem zmęczony i stary. Ale zabiłem tego marlina, który jest moim bratem, i teraz muszę odrobić pańszczyznę.

„Trzeba przygotować pętlę i linę, żeby go uwiązać do łodzi – pomyślał. – Nawet gdyby nas było dwóch i gdybyśmy ją zanurzyli, żeby go załadować, a potem wybrali wodę, ta łódź nigdy by go nie

pomieściła. Muszę wszystko przygotować, potem przyciągnąć go i uwiązać dobrze, postawić maszt i pożeglować do domu”.

Zaczął przyciągać marlina, bo chciał go mieć tuż przy burcie, ażeby przewlec linę przez skrzela i paszczę, a potem przytroczyć go łbem do dziobu łodzi. „Chcę go widzieć – myślał – dotykać go i czuć. To przecie mój majątek. Ale nie dlatego chcę go dotykać. Zdawało mi się, że wyczułem jego serce – myślał – kiedy wepchnąłem drzewce harpuna po raz drugi. Teraz trzeba go przyciągnąć, przytrzymać i założyć jedną pętlę na ogon, a drugą wpół ciała, żeby uwiązać go do łodzi”.

– Bierz się do roboty, stary – powiedział. Wypił mały łyk wody. – Teraz, kiedy walka się skończyła, dużo jest tej pańszczyzny do odrobienia.

Popatrzał na niebo, a potem na swą rybę. Uważnie przyjrzał się słońcu. „Nie jest wiele później niż południe – pomyślał. – A pasat się zrywa. Linki są teraz nieważne. Posplatamy je z chłopcem w domu”.

– No chodź, rybo – rzekł. – Ale ryba nie przyszła. Leżała przewalając się na falach, stary dociągnął łódź do niej.

Kiedy się z nią zrównał, a głowa marlina oparła się o dziób łodzi, stary nie mógł uwierzyć, że ryba jest taka ogromna. Odwiązał z kółka linkę harpuna, przewlókł ją przez jedno skrzele, wyciągnął spomiędzy szczęk, okręcił na mieczu, potem wsunął przez drugie skrzele, znowu okręcił na mieczu, wreszcie związał podwójną linę i umocował ją do kółka na dziobie. Następnie uciął kawał liny i przeszedł na rufę, żeby założyć pętlę na ogon. Ryba, pierwotnie srebrnofioletowa, przybrała barwę srebrzystą, a pasy miały ten sam bladoliliowy kolor co ogon.

Były szersze od ludzkiej dłoni z rozstawionymi palcami, a oko wydawało się równie obojętne jak lusterko w peryskopie czy święty w procesji.

– To był jedyny sposób zabicia go – powiedział stary. Czuł się lepiej, odkąd łyknął wody; wiedział, że nie zemdleje, i w głowie mu się nie mąciło. „Taki, jak teraz jest, waży z górą półtora tysiąca funtów – pomyślał. – A może i dużo więcej. Jeżeli po oprawieniu zostanie z tego dwie trzecie po trzydzieści centów za funt...”

– Na to mi potrzeba ołówka – rzekł. – Tak jasnej głowy jeszcze nie mam. Ale myślę, że wielki Di Maggio byłby dziś ze mnie dumny. Nie miałem ostróg kostnych, ale ręce i plecy bolały porządnie. – „Ciekawe, co to jest ta ostroga – myślał. – A może je mamy nic o tym nie wiedząc?”

Przytwierdził rybę do dziobu, rufy i do środkowej ławy. Była tak wielka, iż miał wrażenie, że przywiązuje do burty znacznie większą łódź. Uciął kawałek linki i przytroczył dolną szczękę ryby do jej miecza, żeby pysk się nie rozwierał i żeby mogli płynąć jak najładziej. Następnie postawił maszt, a kiedy zmontował bom oraz drąg, który mu służył jako gafel, połatany żagiel wydał się, łódź ruszyła z miejsca, on zaś, w pół leżąc na rufie, pożeglował na południowy zachód.

Nie potrzebował kompasu, by wiedzieć, gdzie jest południowy zachód. Wystarczyło mu wyczuć powiew pasatu i wydęcie żagla. „Warto by zrzucić małą linkę z błyszczkiem i popробować zdobyć coś do jedzenia i zwilżenia ust”. Nie mógł jednakże znaleźć błyszczyka, a sardynki były zepsute. Płynąc, wyłowił więc osękiem pęk żółtych wodorostów i potrząsnął nimi tak, że znajdujące się w nich małe krewetki pospadały na deski łodzi. Było ich ponad tuzin, a skakały i miotały się jak pchły. Stary pourywał im łebki palcami i zjadł krewetki rozgryzając skorupy i ogony. Były bardzo małe, ale wiedział, że są pożywne, a smak miały dobry.

W butelce zostały jeszcze dwa łyki wody, więc zjadłszy krewetki wypił jej trochę. Łódź płynęła dobrze, jeżeli zważyć obciążenie, a on kierował nią trzymając rękojeść steru pod pachą. Widział rybę, a wystarczyło mu spojrzeć na własne ręce i oprzeć się plecami o rufę, by wiedzieć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę i nie było snem. W pewnej chwili, gdy czuł się tak niedobrze pod koniec, pomyślał, że może to sen. Potem, kiedy zobaczył rybę, która wyskoczywszy z wody zawisała nieruchomo na tle nieba, nim spadła, uznał, że jest w tym jakaś wielka dziwność, i nie mógł w to uwierzyć. Wtedy nie widział wyraźnie, choć teraz wzrok miał równie dobry jak zawsze.

Wiedział, że ryba jest obok, a jego ręce i plecy nie są snem. „Ręce goją się szybko – pomyślał. – Wykrwawiłem je do czysta, a słona woda je uleczy. Ciemna woda zatoki to najlepszy lekarz, jaki istnieje.

Trzeba mi tylko zachować jasność w głowie. Ręce zrobiły swoje, a zeglujemy dobrze. On ma pysk zaciśnięty, a ogon trzyma prosto, więc płyniemy sobie jak bracia”. Potem zaczęło mu się znów trochę mącić w głowie i pomyślał: „Czy to on mnie ciągnie, czy ja jego? Gdybym go holował za sobą, nie byłoby wątpliwości”. Nie byłoby jej też, gdyby marlin leżał w łodzi, pozbawiony całego dostojęstwa. Ale płynęli razem, związani z sobą bok w bok, a stary pomyślał: „Niechże mnie ciągnie, jeżeli mu się tak podoba. Wziąłem nad nim górę tylko podstępem, a on nie chciał mi zrobić nic złego”.

Płynęli szybko, stary moczył ręce w słonej wodzie i usiłował zachować przytomność umysłu. W górze były wysokie kumulusy i sporo obłoków pierzastych, toteż wiedział, że bryza potrwa całą noc. Stałe spoglądał na rybę, aby upewnić się, że to prawda. Minęła godzina, zanim uderzył ją kłami pierwszy rekin.

Rekin nie zjawił się przypadkowo. Wyplynał z głębin wodnych, kiedy ciemna chmura krwi osiadła i rozlała się w głębokim na milę morzu. Wyplynał tak szybko i bez żadnej ostrożności, że rozdarł powierzchnię błękitnej wody i ukazał się w słońcu. Potem opadł na powrót w morze, zwiertzył zapach i zaczął płynąć w kierunku, który obrała łódź i ryba.

Niekiedy gubił woń. Ale zaraz odnajdował ją znowu, czasem też chwycił tylko jej ślad i płynął szybko, uparcie, po kursie łodzi. Był to ogromny żarłacz mąko, o budowie przystosowanej do pływania tak jak najszybsza ryba w morzu, i wszystko w nim było piękne prócz paszczy. Grzbiet miał błękitny jak u ryby-miecza, brzuch srebrny, a skórę gładką i ładną. Zbudowany był też podobnie do ryby-miecza, z wyjątkiem olbrzymich szczęk, zatrzaśniętych teraz, gdy płynął bystro tuż pod powierzchnią, tnąc niewzruszenie wodę sterczącą płetwą grzbietową. Za ściśniętymi podwójnymi wargami jego paszczy było osiem rzędów kłów osadzonych skośnie do wewnątrz. Nie były to zwykłe, stożkowe zęby większości rekinów. Miały kształt palców ludzkich zagiętych jak szpony. Były prawie tak długie jak palce starego rybaka, a z obu stron miały tnące, ostre jak brzytwa krawędzie. Rekin ten mógł żerować na wszystkich rybach morskich, które były tak szybkie, silne i dobrze uzbrojone, że nie miały już

żadnego innego wroga. Teraz przyspieszył, gdy zwietrzył świeży zapach, a niebieska płetwa grzbietowa wciąż ciąła wodę.

Kiedy stary go ujrzał, wiedział już, że to rekin, który nie zna lęku i zrobi dokładnie to, co chce. Obserwując go przygotował harpun i zamocował linkę. Była krótka, gdyż brakowało jej tej części, którą odciął, żeby uwiązać rybę.

Umysł miał teraz jasny, pełen był determinacji, ale nie miał wiele nadziei. „Za dobre to było, żeby trwać” – pomyślał. Śledząc podpływającego rekina, rzucił okiem na wielką rybę. „Równie dobrze mógł to być sen – myślał. – Nie mogę przeszkodzić, żeby na mnie napadł, ale może go i dostanę. Dentuso! – pomyślał. – Niech szlag trafi twoją mać!”

Rekin podpłynął od tyłu i kiedy uderzył rybę kłami, stary ujrzał rozwierającą się paszczę, dziwne ślepia, usłyszał kłapnięcie zębów, gdy rekin wżerał się w mięso tuż nad ogonem. Głowa rekina sterczała ponad wodą, grzbiet wynurzał się, a stary słyszał trzask skóry i mięsa dartego na wielkiej rybie i wtedy wbił harpun w łeb rekina, w miejsce, gdzie linia łącząca oczy przecina się z linią, która biegnie w tył od nosa. Nie było takich linii. Był tylko ciężki, zaostrowany, niebieski łeb i wielkie ślepia, i kłapiące, szarpiące, wszystko pochłaniające szczęki. Ale w tym właśnie miejscu był mózg i stary w niego ugodził. Ugodził swymi wykrwawionymi rękami, które z całej mocy wbiły tęgi harpun.

Ugodził bez nadziei, ale zdecydowanie, z najwyższą zajadłością. Rekin okręcił się w miejscu, a stary spostrzegł, że w jego oku nie ma życia; potem okręcił się raz jeszcze, wikłając się w dwa zwoje liny. Stary wiedział już, że rekin nie żyje, ale ten nie chciał na to przystać. Leżąc na grzbiecie, strzepując ogonem, kłapiąc szczękami, począł pruć wodę, jak to czyni szybka motorówka. Woda zabieliła się tam, gdzie ją smagał ogonem, trzy czwarte ciała wynurzyło się nad nią i wtedy linka napięła się, zadrgała i pękła. Przez krótką chwilę leżał spokojnie na powierzchni, a stary wpatrywał się w niego. Potem bardzo powoli rekin poszedł na dno.

– Wziął ze czterdzieści funtów – powiedział głośno stary. „Zabrał mi także harpun i całą linkę – pomyślał – i teraz moja ryba znów krwawi, więc przyjdą inne”.



Nie miał już chęci patrzeć na rybę, odkąd została okaleczona. Kiedy rekin ją ugryzł, było to tak, jakby ugryzł jego samego. „Ale zabiłem rekina, który ugryzł moją rybę – pomyślał.

– To był największy dentuso, jakiego widziałem. A Bóg wie, że widywałem duże”.

„Za piękne było, żeby trwać – myślał. – Wolałbym teraz, żeby to był sen, wolałbym nigdy nie schwytać tej ryby i leżeć samotnie w łóżku na gazetach”.

– Ale człowiek nie jest stworzony do klęski – powiedział. – Człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać.

„Żał mi jednak, że zabiłem tę rybę – pomyślał. – Teraz nadchodzi zły czas, a ja nie mam nawet harpuna. Dentuso jest okrutny, zręczny, silny i rozumny. Ale ja byłem rozumniejszy od niego. Może zresztą i nie – pomyślał. – Może byłem tylko lepiej uzbrojony”.

– Nie myśl, stary – powiedział na głos. – Płyn po kursie i przyjmij to, co przyjdzie.

„Ale ja muszę myśleć. Bo tylko to mi zostało. To i baseball. Ciekaw jestem, jakby się wielkiemu Di Maggio podobał ten mój cios w głowę? Nie było to nic nadzwyczajnego – myślał. – Każdy by to potrafił. Ale czy moje ręce były równie wielkim utrudnieniem jak ta kostna ostroga? Nie mam pojęcia. Pięta nigdy mi nie dokuczała, tylko raz jeden, kiedy płynąc, trąciłem stopą płaszczkę kolącą, a ta mnie ukłuła i sparaliżowała dolną część nogi, i sprawiła nieznośny ból”.

– Pomyśl o czymś wesołym, stary – rzekł. – Teraz z każdą minutą jesteś bliżej domu. Lżej ci się płynie, bo ciągniesz o czterdzieści funtów mniej.

Wiedział doskonale, jaki może być dalszy rozwój wypadków, kiedy dotrze do środka prądu. Ale nie było już żadnej rady.

– I owszem, jest rada – rzekł głośno. – Mogę przywiązać nóż do trzonka wiosła. Zrobił to, trzymając rękojeść pod pachą, a szot żagla pod stopą.

– No! – powiedział. – Stary jestem, ale już nie bezbronny. Bryza dęła teraz silnie, toteż żeglował dobrze. Przyglądał się tylko przedniej części ryby i odzyskał trochę nadziei.

„Głupio jest nie mieć nadziei – pomyślał. – Poza tym to pewnie grzech. Nie myśl o grzechu. Dość teraz jest kłopotów i bez tego. A zresztą nie rozumiem się na tym.

Nie rozumiem się na tym i nie jestem pewien, czy w to wierzę. Może było grzechem zabijać rybę? Przypuszczam, że tak, chociaż zrobiłem to, żeby wyżyć i nakarmić wielu ludzi. A wreszcie wszystko jest grzechem. Więc nie myśl o grzechu. Na to już o wiele za późno, a są ludzie, którym za to właśnie płacą. Niech oni myślą o grzechu. Urodziłem się, żeby być rybakiem, tak jak ryba urodziła się, żeby być rybą. Święty Pedro był rybakiem, a także ojciec wielkiego Di Maggio”.

Jednakże lubił zastanawiać się nad wszystkim, co go dotyczyło, a ponieważ nie było nic do czytania i nie miał radia, więc rozmyślał wiele, i wciąż o grzechu. „Nie zabiłeś tego marlina tylko po to, żeby wyżyć i sprzedać go na mięso – myślał. – Zabiłeś go z dumy i dlatego, że jesteś rybakiem. Kochałeś go, kiedy żył, i kochałeś go potem. Jeżeli go kochasz, nie jest grzechem go zabić. Czy też jest jeszcze większym?”

– Za dużo myślisz, stary – powiedział na głos.

„Ale przyjemnie ci było zabić dentusa – pomyślał. – Żywi on się żywymi rybami, tak jak ty. Nie jest jakimś padlinożercą czy po prostu ruchomym apetytem jak niektóre rekiny. Jest piękny, szlachetny i nie zna strachu przed niczym”.

– Zabiłem go w samoobronie – powiedział. – I zabiłem dobrze.

„A zresztą – pomyślał – wszystko w jakiś sposób zabija wszystko inne. Łowienie ryb zabija mnie dokładnie tak samo, jak utrzymuje przy życiu. Ale chłopiec pomaga mi wyżyć. Nie powinienem zanadto się łądzić”.

Wychylił się przez burtę i urwał kawałek mięsa ryby z miejsca, gdzie nadgryzł ją rekin. Przeżuł je i stwierdził, że jest dobrej jakości i smaczne. Było jędrne, soczyste jak mięso zwierzęce, ale nie czerwone. Nie było łykowate i wiedział, że na targu przyniesie mu najwyższą cenę. Nie miał jednak sposobu, aby zapobiec rozchodzeniu się zapachu w wodzie, i zdawał sobie sprawę, że zbliżają się ciężkie chwile.

Bryza wiała ciągle. Przesunęła się nieco dalej na północo-wschód, a wiedział, iż jest to oznaką, że nie ustanie. Popatrzał przed siebie, ale nie mógł nigdzie dojrzeć żagli ani kadłuba czy dymu jakiegokolwiek statku. Widać było jedynie latające ryby, które wzbijały się spod dziobu szybując w obie strony, i żółte płachty wodorostów zatokowych. Nie mógł nawet wypatrzeć żadnego ptaka.

Płynął już od dwóch godzin, odpoczywając na rufie, czasami przeżuując kawałek mięsa marlina i usiłując wytchnąć i nabrać sił, kiedy zobaczył pierwszego z pary rekinów.

– Ay! – powiedział na głos.

Niepodobna przetłumaczyć tego słowa; być może jest ono po prostu dźwiękiem, jaki mógłby mimowolnie wydać człowiek czując, że gwóźdź przenika mu przez dłoń i wbija się w drzewo.

– Galanos! – rzekł głośno. Widział już drugą płetwę, która sunęła za pierwszą, i rozpoznał płaskonose żarłaczce po owych brunatnych trójkątnych płetwach i zamiatających ruchach ogona. Zwietrzyły zapach i to je podnieciło, a ogłupiałe od wielkiego głodu, gubiły ślad w swej zajadłości i odnajdowały go znowu. Ale zbliżały się ciągle. Stary uwiązał szot i zamocował ster. Następnie mógł, bo ręce buntowały mu się przeciwko bólowi. Potem rozwarł i zamknął lekko dłonie na trzonku, aby je rozluźnić. Zacisnął je mocno, ażeby zniósł ból i nie zadrżały, i śledził zbliżające się rekiny. Widział teraz ich łby szerokie, spłaszczone, spiczaste, jak szpadle, i białe zakończone, rozłożyste płetwy piersiowe. Były to ohydne, cuchnące rekiny, żywiące się padliną, ale zarazem mordercy, a kiedy poczuły głód, potrafiły kąsać wiosło czy ster łodzi. To one odgryzały łapy żółwiom śpiącym na powierzchni morza, a jeśli były głodne, atakowały w wodzie człowieka, choćby nie pachniał rybią krwią czy rybimi wydzielinami.

– Ay! – powiedział stary. – Galanos. Chodźcie tu, galanos! Nadeszły. Ale nie przyplłynęły, tak jak tamten mąko. Jeden skręcił i zniknął pod łodzią, a stary wyczuł jej drganie, kiedy rekin szarpał i targał rybę. Drugi obserwował człowieka szparami swych żółtych oczu, po czym podplłynął szybko, rozwarłszy półkole szczęk, aby zadać cios rybie tam, gdzie była już nadgryziona. Na jego brunatnym łbie rysowała się wyraźnie linia biegnąca ku miejscu, gdzie mózg

łączył się z kręgosłupem, i stary wbił uwiązany do wiosła nóż w to złączenie, wyrwał go i wbił ponownie w żółte, kocie ślepie rekina. Ten puścił rybę i osunął się w dół, przetykając wyrwany kęs, w chwili gdy zdychał.

Łodzią ciągle wstrząsały niszczące ciosy, jakie drugi zadawał marlinowi, więc stary poluzował szot, ażeby obróciła się burtą i wydobyła na wierzch rekina. Kiedy go zobaczył, wychylił się i pchnął nożem. Trafił w mięso: skóra była twarda, napięta, więc ledwie zdołał wbić ostrze. Od tego ciosu zaboląły go nie tylko ręce, ale i ramiona. Rekin zaraz wypłynął wynurzając głowę i stary uderzył go w sam środek spłaszczzonego łba, w chwili gdy nos wychylił z wody i oparł się na rybie. Stary wyrwał ostrze i znowu pchnął dokładnie w to samo miejsce. Rekin uczepił się ryby zatrzasnąwszy szczęki, więc stary dźgnął go w lewe oko. Rekin nadal nie puszczał.

– Nie? – powiedział stary i wbił ostrze pomiędzy kręgi a mózg. Był to już łatwy cios, poczuł, że tkanka kostna się rozstępuje. Odwrócił wiosło i wepchnął jego pióro pomiędzy szczęki rekina, ażeby je rozewrzeć. Przekręcił pióro, a kiedy rekin puścił i osunął się w dół, powiedział:

– Idź precz, galano! Opadnij na milę głęboko. Idź do swojego przyjaciela czy może do swojej matki.

Wytarł ostrze noża i odłożył wiosło. Potem odnalazł szot, a kiedy żagiel się wydał, wprowadził łódź na kurs.

– Musiały zabrać ze ćwierć ryby, i to najlepszego mięsa – powiedział na głos. – Wolałbym, żeby to był sen i żebym jej nigdy nie złowił. Przykro mi z tego powodu, rybo. W ten sposób wszystko wychodzi na opak. – Przerwał. Nie chciał spojrzeć na rybę.

Wykrwawiona, obmywana falami, przypominała swą srebrzystością odwrotną stronę lustra, a pasy wciąż jeszcze były na niej widoczne.

– Nie powinienem był wypływać tak daleko, rybo – odezwał się stary. – Ani ze względu na ciebie, ani na siebie samego. Żałuję, rybo.

„No – powiedział sobie. – Obejrzyj wiązadło noża i sprawdź, czy nie przecięte. A potem doprowadź ręce do ładu, bo przyjdzie jeszcze coś więcej”.

– Chciałbym mieć osełkę do noża – rzekł sprawdzwszy wiązadła na trzonku wiosła. – Trzeba ją było zabrać ze sobą.

„Trzeba było zabrać wiele rzeczy – pomyślał. – Ale ich nie zabrałeś, stary. Teraz nie czas myśleć o tym, czego nie masz. Myśl, co potrafisz zrobić tym, co jest”.

– Dajesz mi wiele dobrych rad – powiedział głośno. – Mam tego dosyć.

Trzymając rumpel steru pod pachą, wymoczył w wodzie ręce, podczas gdy łódź sunęła naprzód.

– Bóg wie, ile wziął ten ostatni – powiedział. – Ale łódź jest teraz o wiele lżejsza. – Nie chciał myśleć o okaleczonym podbrzuszu ryby. Wiedział, że każde szarpnięcie rekina oznaczało wyrwanie mięsa i że ryba pozostawiała teraz dla wszystkich żarłaczy szlak szeroki jak gościniec na morzu.

„To była ryba, z której człowiek mógł się utrzymać przez całą zimę – pomyślał. – Ale nie myśl o tym. Odpocznij tylko i postaraj się doprowadzić ręce do porządku, żeby obronić to, co jeszcze z niej zostało. Zapach krwi z moich rąk nie ma teraz żadnego znaczenia przy całym tym zapachu, jaki jest w wodzie. Prócz tego nie bardzo krwawią. Nic ważnego nie jest tam przecięte. Krwawienie może zapobiec kurczom w lewej”.

„O czymże mogę teraz myśleć? O niczym. Muszę myśleć o niczym i czekać na te następne. Chciałbym, żeby to naprawdę był sen. Ale kto wie? Mogło skończyć się dobrze”.

Następny rekin, który przypląnął, był pojedynczym płasko-nosem. Przyszedł niby wieprz do koryta – jeżeliby wieprz miał pysk tak szeroki, by można weń wsunąć głowę. Stary pozwolił mu ugryźć rybę, a potem wbił mu w mózg nóż uwiązany do wiosła. Jednakże rekin zakotłował się, szarpnął w tył i ostrze noża pękło.

Stary usiadł przy sterze. Nawet nie śledził ogromnego rekina z wolna opadającego pod wodę – najpierw widocznego w swej naturalnej wielkości, potem mniejszego, wreszcie maleńkiego. To zawsze fascynowało starego rybaka. Ale tym razem nawet nie patrzył.

– Mam teraz osęk – powiedział. – Ale to się na nic nie przyda. Mam oba wiosła, rumpel i krótką pałkę.

„Już mnie pobiły – pomyślał. – Jestem za stary, żeby zatłuc rekina na śmierć. Ale spróbuję tego, dopóki mam wiosła, krótką pałkę i rumpel”.

Znowu zanurzył w wodzie ręce, aby je wymoczyć. Zbliżał się już wieczór, więc widział tylko niebo i morze. Na niebie wiatr był silniejszy niż dotąd i stary miał nadzieję niedługo ujrzeć ląd.

– Zmęczony jesteś, stary – rzekł. – Zmęczony jesteś od środka.

Rekiny zaatakowały go ponownie dopiero tuż przed zachodem słońca.

Stary zobaczył brunatne płetwy sunące wzdłuż szerokiego szlaku, który ryba musiała pozostawiać w wodzie. Nawet nie kluczyły po śladzie. Płynęły bok w bok prosto na łódź.

Zamocował ster, uwiązał szot i sięgnął pod rufę po pałkę. Był to trzonek po złamanym wiosle, spiłowany do mniej więcej dwóch i pół stopy długości. Mógł go skutecznie używać tylko jedną ręką ze względu na uchwyt, więc ujął go mocno w prawą i wypróbował na nim jej giętkość, śledząc zbliżające się rekiny. Obydwa były galanos.

„Muszę pozwolić pierwszemu, żeby się dobrze uczeplił, a wtedy grzmotnę go w czubek nosa albo prosto w wierzch łba” – pomyślał.

Oba rekiny podsunęły się razem, a kiedy zobaczył, że bliższy rozwiera szczęki i zatapia kły w srebrzystym boku ryby, podniósł wysoko pałkę i spuścił ją ciężko, z trzaskiem, na szeroki łeb rekina. W chwili gdy pałka spadła, wyczuł jego gumowatą masywność. Poczł jednak również twardość kości, więc jeszcze raz trzasnął mocno w czubek nosa, kiedy rekin osuwał się z ryby.

Drugi przybliżył się, potem oddalił, a teraz znowu podpływał z rozwartym pyskiem. Stary dojrzał białe szczątki mięsa wymykające się z kątów paszczy, w chwili gdy rekin rzucił się na rybę i zamknął szczęki. Wziął zamach, lecz trafił tylko w głowę, a rekin spojrzał na niego i wyrwał mięso. Zamachnął się znowu, kiedy rekin cofał się, żeby je przełknąć, i uderzył tylko w tę ciężką, gumowatą masywność.

– Chodź no, golono – powiedział. – Chodź jeszcze raz.

Rekin powrócił jednym rzutem i stary zadał cios, w momencie kiedy napastnik zwierzał paszczę. Uderzył go tęgo, z tak wysoka, jak tylko zdołał wznieść pałkę. Tym razem wyczuł kość u nasady

czaszki, więc grzmotnął powtórnie w to samo miejsce, gdy rekin gnuśnie wydierał mięso i zsuwał się z ryby.

Stary patrzył, czy znowu nie wypłynie, ale rekiny nie pokazywały się nigdzie. Wtem spostrzegł jednego z nich zataczającego koła na powierzchni. Płetwy drugiego nie widział.

„Nie mogłem się spodziewać, że je zatłukę – myślał. – W swoim czasie potrafiłbym to zrobić. Ale porządnie uszkodziłem obydwu i żaden nie może się czuć za dobrze. Gdybym mógł trzymać pałkę obiema rękami byłbym zabił pierwszego z całą pewnością. Nawet teraz”.

Nie chciał spojrzeć na rybę. Wiedział, że jej połowa jest zniszczona. Słońce zaszło, kiedy toczył walkę z rekinami.

– Niedługo już będzie ciemno – powiedział. – Wtedy powinienem zobaczyć łunę Hawany. Jeżeli jestem za daleko na wschód, to dojrzę światła którejs z tych nowych plaż.

„Chyba nie mogę być bardzo daleko w tej chwili – pomyślał. – Mam nadzieję, że nikt się zanadto nie niepokoi. Tylko chłopiec może się niepokoić, rzecz jasna. Ale jestem pewien, że wierzy we mnie. Wielu starszych rybaków będzie się martwiło. I wielu innych też. Mieszkam w zacnym mieście”.

Nie mógł już teraz przemawiać do ryby, gdyż była zbyt zniszczona. A potem coś mu przyszło do głowy.

– Pótrybo! – powiedział. – Rybo, którą byłaś! Żałuję, że wypłynąłem za daleko. To nas oboje wykończyło. Aleśmy razem z tobą ubili sporo rekinów, a uszkodzili wiele innych. Ile ich w życiu zabiłaś, stara? Nie darmo masz tę dzidę na głowie.

Przyjemnie mu było rozmyślać o rybie i o tym, co mogłaby zrobić rekinowi, gdyby płynęła swobodnie. „Powinienem był odrąbać ten jej miecz i nim walczyć – pomyślał. – Tylko że nie miałem toporka, a potem już i noża. Ale gdybym tak zrobił i uwiązał jej miecz do trzonka wiosła, cóż by to była za broń! Wtedy moglibyśmy razem bić się z nimi. Co teraz zrobisz, jeżeli przyjdą w nocy? Cóż możesz zrobić?”

– Walczyć – odpowiedział. – Będę z nimi walczył, póki nie skonam.

Ale teraz, w ciemności, kiedy nie było widać żadnej łuny czy świateł i tylko dął wiatr, a żagiel równo ciągnął, stary pomyślał, że może już nie żyje. Złożył dłonie i pomacał wewnętrzną ich stronę. Nie były martwe: mógł wywołać ból życia po prostu rozwierając je i zamykając. Oparł się plecami o rufę i pojął, że nie umarł. Mówiły mu o tym ramiona.

„Mam do zmówienia te wszystkie modlitwy, które przyobiecałem, jeżeli złowię rybę – pomyślał. – Ale jestem zanadto zmęczony, żeby je teraz odmawiać. Lepiej wezmę worek i okryję sobie ramiona”.

Leżał na rufie, sterował i wypatrywał na niebie łuny świateł.

„Mam jeszcze połowę ryby – pomyślał. – Może mi się poszczęści dowieźć tę przednią. Powinienem bym mieć szczęście.

– Nie – powiedział sobie. – Pogwałciłeś swoje szczęście, kiedy wypłynąłeś za daleko”.

– Nie bądź głupi – powiedział na głos. – Nie zasypiaj i steruj. Możesz jeszcze mieć dużo szczęścia.

– Chętnie bym kupił go trochę, gdyby było takie miejsce, gdzie je sprzedają – powiedział.

„A czym mógłbym za nie zapłacić?” – spytał samego siebie.

– „Czy straconym harpunem, złamanym nożem i dwiema poharatanymi rękami?”

– I owszem – powiedział. – Próbowalesz za nie zapłacić osiemdziesięcioma czterema dniami na morzu. Już ci je prawie sprzedali.

„Nie powinienem wymyślać bredni” – zastanowił się.

– Szczęście jest czymś, co przychodzi pod wieloma postaciami, więc któż je może rozpoznać? A jednak chętnie bym wziął go trochę pod każdą postacią i zapłacił, co by żądano. Chciałbym już widzieć tę łunę świateł – myślał. – Za wielu rzeczy chcę. Ale tego właśnie chcę w tej chwili”.

Spróbował usadowić się wygodniej przy sterze i po bólu poznał, że nie umarł.

Odblask roziskrzonych świateł miasta zobaczył gdzieś około dziesiątej godziny wieczorem. Z początku były dostrzegalne tylko w tym stopniu co światło na niebie przed wschodem księżyca. Potem widać je było wyraźnie nad oceanem, który teraz wzburzył się od



wzrastającego wiatru. Stary kierował łódź prosto w ten blask i myślał, że już niedługo powinien natrafić na skraj prądu.

„Teraz już po wszystkim – rozmyślał. – Pewnie znów na mnie uderzą. A cóż może im zrobić po ciemku człowiek bez broni?”

Był drętwy i obolały, a rany i wszystkie naciągnięte mięśnie dokuczały mu na nocnym chłodzie. „Mam nadzieję, że nie będę już musiał walczyć – myślał. – Tak bardzo mam nadzieję, że nie będę już musiał walczyć”.

Ale o północy stanął do walki i tym razem wiedział już, że jest bezcelowa. Przyszły całą hordą, a on dostrzegł tylko linie, kreślone w wodzie przez ich płetwy, i fosforescencję, kiedy rzuciły się na rybę. Tłukł pałką po głowach, słyszał kłapnięcia szczęk, czuł drżenie łodzi, kiedy szarpały rybę od spodu. Walił rozpaczliwie we wszystko, co tylko mógł wymacać i usłyszeć, a potem uczył, że coś chwyciło pałkę i wyrwało mu ją z ręki.

Wyszarpnął rumpel ze steru i zaczął grzmocić i rąbać trzymając go oburącz i młóćąc nim bez przerwy. Ale rekiny były teraz przy dziobie i nacierając kolejno lub wspólnie, darły kawały mięsa, które świeciło pod wodą, gdy zawracały do ponownego ataku.

W końcu jeden z nich podpłynął do głowy ryby i stary wiedział, że już jest po wszystkim. Zdzielił rekina rumplem w łeb, tam gdzie jego szczęki uwięzły w masywnej głowie, która nie chciała się oderwać. Uderzył raz, dwa razy i jeszcze raz. Usłyszał, że rumpel pęka, więc pchnął rekina strzaskanym trzonkiem. Uczuł, że go wbił, a wiedząc, że końce ma ostre, wepchnął go jeszcze głębiej. Rekin puścił rybę i cofnął się ciężko. Był to ostatni rekin ze stada, jaki przypląnął. Nie było już dla nich nic więcej do jedzenia.

Stary z trudnością chytał oddech i czuł dziwny smak w ustach. Był on jakiś metaliczny i słodki i stary zląkł się na chwilę. Ale nie było tego wiele.

Splunął w morze i powiedział:

– Zjedzcie to sobie, galanos. I niech wam się przyśni, żeście zabiły człowieka.

Wiedział, że jest pobity ostatecznie i bez ratunku; wrócił na rufę i stwierdził, iż strzaskany koniec rumpla na tyle pasuje w otwór steru, że da się nim sterować. Owinął workiem ramiona i wprowadził łódź

na kurs. Płynęło mu się teraz lekko, opuściły go wszystkie myśli i uczucia. Miał już wszystko za sobą i kierował łodzią, ażeby jak najlepiej i jak najmądrzej dopłynąć do macierzystego portu.

W nocy rekiny zaatakowały szkielet jak ktoś, kto zbiera okruchy ze stołu. Stary nie zwracał na to uwagi: nie zwracał uwagi na nic prócz sterowania. Zaobserwował tylko, jak lekko i dobrze żegluje łódź teraz, kiedy nie zwisa przy niej wielki ciężar.

„Dobra ona jest – myślał. – Cała i nie uszkodzona z wyjątkiem rumpla. A ten łatwo zastąpić”.

Czuł, że już znalazł się w prądzie i wzdłuż brzegu dostrzegł światła osiedli nadmorskich. Wiedział, gdzie teraz jest: łatwo już było powrócić do domu.

„Wiatr to w każdym razie nasz przyjaciel” – pomyślał. A potem dodał: „Czasem. I to wielkie morze, razem z naszymi przyjaciółmi i wrogami. I łóżko – pomyślał. – Łóżko jest moim przyjacielem. Nie ma jak łóżko. W łóżku będzie wspaniale. Jakoś lżej człowiekowi, kiedy jest pokonany. Nie miałem pojęcia, że tak lekko. I cóż cię pokonało?” – pomyślał.

– Nic – odpowiedział głośno. – Wypłynąłem za daleko.

Kiedy znalazł się w małej przystani, światła Tarasu były pogaszone, wiedział więc, że wszyscy już leżą w łóżkach. Wiatr wzmagał się ciągle i dął teraz silnie. W przystani było jednak cicho; podpłynął do niewielkiego żwirowiska pod skałami. Nie było nikogo, kto by mu pomógł, więc wepchnął łódź na brzeg najdalej, jak zdołał. Potem wysiadł i przymocował ją do skały.

Wyjął maszt, zwinął żagiel i obwiązał go. Następnie zarzucił maszt na ramię i zaczął wspinać się na brzeg. Wtedy to uświadomił sobie całą głębię swojego zmęczenia. Przystanął na chwilę, obejrzał się i w odblasku latarni ulicznych zobaczył olbrzymi ogon ryby wystający nad wodę za rufą łodzi. Ujrzał białą, nagą linię kręgosłupa i ciemną masę łba ze sterczącym mieczem, i całą tę nagość pośrodku.

Zaczął się wspinać znowu, na górze upadł i przeleżał jakiś czas z masztem na ramieniu. Usiłował się podnieść. Było to jednak zbyt trudne, więc siedział tam, trzymając maszt na ramieniu i patrzył na drogę. Po drugiej stronie przeszedł kot podążając za swoimi

sprawami i stary obserwował go. Potem przyglądał się po prostu drodze.

Wreszcie odłożył masz i wstał. Dźwignął go, zarzucił na ramię i ruszył drogą. Musiał siadać pięć razy, nim dotarł do swojej chaty.

W chacie oparł maszt o ścianę. Odszukał po ciemku butelkę z wodą i napił się trochę. Potem położył się na łóżku. Nasunął koc na ramiona, otulił nim plecy i nogi i zasnął na gazetach

twarzą do dołu, z wyciągniętymi rękami i dłońmi odwróconymi wewnętrzną stroną do góry.

Spał jeszcze, kiedy chłopiec zajrzał rano przez drzwi. Dęło tak mocno, że dryfujące łodzie nie wypływały na morze, więc chłopiec spał do późna, a potem przyszedł do chaty starego, tak jak przychodził co rano. Zobaczył, że stary oddycha, a potem zauważył jego ręce i zaczął płakać. Wyszedł cicho po kawę i przez całą drogę płakał.

Liczni rybacy otaczali łódź oglądając to, co było do niej przymocowane, a jeden podwinąwszy spodnie, stał w wodzie i mierzył szkielet kawałkiem liny.

Chłopiec nie zszedł na dół. Był tu już przedtem i jeden z rybaków pilnował za niego łodzi.

– Jak on się czuje? – zawołał któryś z ludzi.

– Śpi! – odkrzyknął chłopiec. Nie dbał o to, że widzą jego łzy. – Niech mu nikt nie przeszkadza.

– Osiemnaście stóp od nosa do ogona – zawołał rybak, który mierzył marlina.

– Wierzę – odrzekł chłopiec.

Wszedł na Taras i poprosił o blaszankę kawy.

– Żeby była gorąca i proszę dać dużo mleka i cukru.

– Coś więcej?

– Nic. Później zobaczę, co będzie mógł jeść.

– Cóż to była za ryba – powiedział właściciel kawiarni. – Jeszcze nikt takiej nie widział. Ale i ty złowiłeś wczoraj dwie ładne.

– Do diabła z moimi rybami – odparł chłopiec i zaczął płakać znowu.

– Chcesz się czegoś napić? – zapytał właściciel.

– Nie – odrzekł chłopiec. – Niech pan im powie, żeby nie przeszkadzali Santiago. Zaraz wrócę.

– Powiedz mu, że bardzo mi przykro.

– Dziękuję – odrzekł chłopiec.

Zaniósł blaszankę gorącej kawy do chaty starego i został tam, póki ten się nie obudził. Raz wydawało się już, że stary się budzi. Ale znów zapadł w ciężki sen, więc chłopiec poszedł naprzeciwko pożyczyć trochę drzewa, żeby podgrzać kawę.

Wreszcie stary się ocknął.

– Nie wstawaj – powiedział chłopiec. – Wypij to. – Nalał kawy do szklanki.

Stary wziął ją i wypił.

– Pobiły mnie, Manolin – powiedział. – Pobiły mnie zupełnie.

– On cię nie pobił. Ten marlin.

– Nie. Prawda. To było dopiero później.

– Pedrico pilnuje łodzi i sprzętu. Co zrobić z głową?

– Niech ją Pedrico porąbie, przyda się do wiecierzy.

– A miecz?

– Zatrzymaj go sobie, jeżeli chcesz.

– Chcę – powiedział chłopiec. – Teraz musimy naradzić się co do innych rzeczy.

– Szukali mnie?

– Jasne. Straż nadbrzeżna i samoloty.

– Ocean jest bardzo wielki, a łódka mała i trudno ją dojrzeć. – Zauważył jak miło jest mieć z kim rozmawiać zamiast mówić tylko do siebie i do morza. – Brak mi ciebie było. Co złowiłeś?

– Jedną pierwszego dnia. Jedną drugiego i dwie trzeciego.

– Doskonale.

– Teraz będziemy łowić razem.

– Nie. Ja nie mam szczęścia. Już teraz nie mam szczęścia.

– Do diabła ze szczęściem – rzekł chłopiec. – Szczęście przyniosę ze sobą.

– A co powie twoja rodzina?

– Wszystko mi jedno. Wczoraj złapałem dwie sztuki. Ale teraz będziemy łowili razem, bo jeszcze muszę się dużo nauczyć.

– Musimy zdobyć dobrą lancę do zabijania ryb i zawsze mieć ją w łodzi. Grot można zrobić z pióra resoru starego forda. Możemy go wyostrzyć w Guanabacoa. Powinien być ostry i tak hartowany, żeby się nie złamał. Mój nóż pękł.

Przyniosę ci inny i dam resor do wyostrzenia. Ile jeszcze mamy dni silnego wiatru?

– Może trzy, może więcej.

– Doprowadzę wszystko do porządku – powiedział chłopiec. – A ty wylecz sobie ręce, staruszk.

– Już ja wiem, jak się nimi zaopiekować. W nocy wyplułem coś dziwnego i miałem takie uczucie, jakby mi coś trzasło w piersiach.

– Wylecz i to – rzekł chłopiec. – Połóż się, stary, a ja ci przyniosę czystą koszulę. I coś do zjedzenia.

– Przynies mi jakieś gazety z tych dni, kiedy mnie nie było – powiedział stary.

– Musisz prędko wydobrzeć, bo dużo jest rzeczy, które powinienem poznać, a ty potrafisz nauczyć mnie wszystkiego. Bardzo cierpiełeś?

– O, bardzo – odparł stary.

– Przyniosę jedzenie i gazety – powiedział chłopiec. – Wypocznij dobrze, staruszk. Wezmę z apteki coś na twoje ręce.

– Nie zapomnij powiedzieć Pedricowi, że głowa jest dla niego.

– Dobrze. Będę pamiętał.

Kiedy chłopiec, wyszedłszy za próg, ruszył drogą po starych skałach koralowych, rozplakał się znowu.

Tego popołudnia na Tarasie siedziała grupka turystów. Jedna z kobiet, patrząc na wodę, zobaczyła między pustymi puszkami po piwie i martwymi barracudami długi, biały szkielet zakończony ogromnym ogonem, który dźwigał się i kołysał na falach przyływu, gdy wschodni wiatr wzdymał ciężko morze za wejściem do przystani.

– Co to takiego? – zapytała kelnera, wskazując długi szkielet wielkiej ryby, który był teraz już tylko odpadkiem czekającym, by zabrał go odpływ.

– Tiburon – odpowiedział kelner. – To rekin... – Zamierzał wyjaśnić, co się zdarzyło.

– Nie wiedziałam, że rekiny mają takie śliczne, pięknie ukształtowane ogony.

– Ja też nie wiedziałem – rzekł jej towarzysz.

Przy drodze, w chacie, stary rybak spał znowu. Spał wciąż na brzuchu, a chłopiec siedział obok i wpatrywał się w niego. Staremu śniły się lwy.

REDDOGPL